STRZECHA

ROCZNIK I. 1868. ZESZYT IX.

BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy).

LIX.

Tymczasem powóz ulicami bocznemi zajechał na Stare Miasto, a z niego wysunął się pod tę część zamku, która przytykała i łączyła się z kościołem św. Jana. Tu pusto było zupełnie. Stanęli. Kobiéty i Paproński mający służyć za świadka wysiedli, Sojka ich prowadził. Zastukano raz, dwa i dwa razy po dwa do bramy, mała furtka otwarła się milcząco. Weszli w jeden z podwórzów zamkowych, tu ciemno było; wszystko się zdawało we śnie pogrążone. Sojka zapalił małą przygotowaną latareńkę i poprowadził ich na galeryę, a potem korytarzem długim i pustym… W milczeniu przeszli schody jedne, zwrócili się, otwarto kilkoro drzwi, przesunęli się przez kilka sal pustych, i znaleźli w małej sklepionej komnacie, przybranej nakształt kapliczki domowej. Mały ale dość ozdobny ołtarz stał w głębi, na nim paliły się już świece… Ksiądz staruszek z agendką w ręku czekał przed ołtarzem w komży i stule.

W cieniu nisz kaplicznych widać było kilka osób… W górze przez szklanne okno loży zdawała się chwilami bieleć upudrowana głowa i twarz blada.

Gdy suknia Heli zaszeleściała w progu, jenerał Puzonów stojący u wnijścia, ubrany po cywilnemu, zbliżył się i podał jej rękę. Nie mówiąc do siebie słowa podeszli do ołtarza.

— To matka moja i świadek mój — odezwała się półgłosem Helena.

Wśród ciszy obrzęd się rozpoczął. Ksiądz staruszek, trochę przelękły, odprawiał go prędko jakby się przerwania obawiał… niekiedy oczyma mierzył drzwi i wstrzymywał głos, gdy szmer posłyszał. Jąkał się, niedowidział w agendce, ale naostatek dopełniła się uroczystość ze wszelkiemi wymaganemi formalnościami. Drżącą ręką kapłan związane pobłogosławił dłonie.

Odstąpiwszy nieco od ołtarza, przy którym Helena uklękła się modlić jeszcze, jenerał czekał na nią… z twarzy jego widać było radość, niecierpliwość, dumę. Patrzał na tę poważną piękność klęczącą i czuł, że się nią będzie mógł, choćby na najświetniejszym pochlubić dworze. Gdy nareście po przedłużonej modlitwie Helena wstała, jenerał podał jej rękę i zabierał się prowadzić — ale ona zlekka usunąwszy dłoń jego — odezwała się podnosząc czoło z powagą i spokojem:

— Panowie, ten człowiek, którego widzicie, który mi przysiągł i któremum ja przysięgła, był mi winien ten ślub za popełniony występek… przyszłam tu po to tylko, aby odejść usprawiedliwioną i aby go upokorzyć… ale żyć z nim nie mogę i nie będę.

Przysięgłam… tak! dotrzymam tej przysięgi wierności… nikomu w życiu drugi raz ślubować nie będę i pozostanę mu wierną… ale żoną jego — nigdy!

To mówiąc zmierzyła go piorunującym wzrokiem. Jenerał zbladł, zakipiał z gniewu, dwaj jego towarzysze podbiegli i pochwycili go, obawiając się, aby w kaplicy gwałtu

się jakiego nie dopuścił: tymczasem Helena uklękła raz jeszcze, chwyciła matkę za rękę i rozkazująco zawołała do Sojki, który stał z latarką u drzwi —

Prowadź nas nazad!

Jenerał wyrywał się, trzymano go, przyjaciele wymogli przecie, iż się dał uspokoić. Namowy towarzyszów czy jakieś dumy uczucie wstrzymały go od napaści, pogoni, nawet od wyraźniejszej odpowiedzi. Śmiał się tylko szydersko.

Tak od stóp ołtarza rozeszli się poślubieni, z podziwem i przestrachem świadków... Jeden ksiądz w początku słowy łagodnemi starał się nakłonić Helenę do przebaczenia, ale ona pocałowawszy go w rękę, głową tylko potrząsnęła i odeszła.

Sójka równie przerażony jak inni, idąc nazad przez korytarze... zataczał się i słaniał... z pod oka patrzał na Helenę... mrucząc...

— Ależ to panie kobiéta! ależ to historya... a niechże...

Doszli tak wreście do powozu, który stał przy bramie; Helena przez uczucie jakiegoś wstrętu i obawy nie chciała doń siąść... poszła do dorożki pieszo. Paproński całą drogę był posępny i milczący, Ksawerowa ściskała ją i płakała. W bramie domu, Helena podziękowała świadkowi, który odpowiedzieć jej nie umiał nawet— a sama weszła prędko na górę.

— To mój wieczór godowy! — zawołała padając na kolana — to wesele moje!... wesele sieroty!... ślub jak grób...

LX.

W małym szyneczku w rogu Bielańskiej ulicy i Tłomackiego... pod wieczór, siedziało dwóch niepoczesnych ludzi u butelki miodu, który zdawał się nie wiele więcej być wart od nich. Oba jakoś pili smętnie i wzdychali.

Byli sami, łojowa świeczka zwieszona na bok pryskała w lichtarzu, jakby drzemiąc i budząc się zaspana... w drugiej izbie chłopak posługujący ręce w tył założywszy kiwał się na ławie pod piecem. Obraz był flamandzki, ale nie dobrego pędzla i oświecony nie osobliwie.

— Mój Dyzmo — rzekł pierwszy, który miał nos okryty ogromnemi brodawkami, łysą zupełnie głowę i wąsy twarde rosnące do góry nakształt szczeciny.— Mój kochany Dyzmo, już się to tam w życiu różne praktykowało różności — ale takiego głupiego interesu to nigdy.

Towarzysz, niepozorne człecze żółte ze spiczastym nosem jakby cudzym, bo czerwono-fioletowym, gdy reszta twarzy była cytrynowej barwy, lecz z oczyma nader bystremi, nadpił miodu, splunął i rzekł:

— Ale to mospanie tego, choć ty Cyprusiu... interes głupi nie jest, wcale nie jest.

— Źle idzie, do djabła.

— Co źle idzie! Albo to my temu choćby winni? Trudno znowu szturm do kamienicy przypuścić.

— No — a ten się niecierpliwi i gniewa.

— To co? kiedy płaci... Rzecz jest mospanie choćby tego — cała w tem iż płaci. Nad siły znowu nie pociągnie nikt, choćby tego.

— No — ale co będzie dalej?

— A dalej? Jeźli wyjdzie w takiej godzinie, że będzie można, i w miejscu, że się udać może... to się pochwyci, gębę zatka... delikatnie i w powóz...

— A ten powóz to już tyle czasu stoi...

— To cóż? Cóż panie tego choćby i stał, kiedy nie można... to nie można...

— Powiedzże — odezwał się Cypruś brodawkowaty ... jak się wam zdaje, czy ten stary się w niej kocha... czy co?...

— A no, musi się kochać, bo na cóżby mu się przydała? Toć z nią pacierzy pewnie odmawiać nie będzie. Ale nam co do tego!

— Taki stary!!

— Stary... to nic nie szkodzi, u nich ta waryacya całe życie trwa. Wać Pan widzisz, to widocznie wielki pan, a oni mają bestye takie sposoby, że gdy strupieszeje już, naleje sobie w gardło leku i odmłodzi się. Oni żyją po sto lat, to my tylko chude pachołki umierać musimy bez czasu...

Pomilczeli trochę...

— Jak się WPanu zdaje — spytał Cypruś Brodawka — kiedy się też to skończy, bo to grunt jest, aby pieniądze schować do kieszeni... a teraz że daje nam strawne... co to znaczy! człek zje, wypije, kupi tabaki i goły...

— Mosanie, choćby tego — odpowiedział Dyzma z powagą — ty nie jesteś kalkulator... Co tobie z pieniędzy grubszych choćbyś je wziął? Hę! Ja tobie powiem zaraz co choćby będzie. Weźmiesz na swoją część czy kilka czy kilkanaście talarów choćby tego... i naprzód się upijesz...

— A ty?

— A! i ja się upiję choćby tego, ale inaczej... Ty jak się upijesz, masz zaraz impet do kart... No — choćbyś siadł, to albo ja albo kto z brzegu cię orznie, ale taki orznie, i jutro będziesz goły znowu.

— E! e! — westchnął Cypruś — gdybyście nie byli takie szelmy...

— A znajdziesz ty mi jednego z tych, co w karty grają, żeby szelma nie był? — spytał Dyzma. — Ty masz taką żyłkę a nawet żyłę, że nie strzymasz.

— No! ja ci się klnę, zobaczysz że was teraz wszystkich ogram... do koszuli... Byleśmy tę panienkę pochwycili... a pieniądze... zobaczycie...

Ale ja taki wracam do tego, że interes głupi! Ona gotowa tam siedzieć rok i my jej nie wypłoszymy... Żeby tak jaka zacna kobiecina, coby ją pod jakim pozorem wyprosiła?

— Prawda — gdzie djabeł nie może babę posyła... ale znowu!!

— Trzeba to jemu powiedzieć, bo tak znowu czekaj, czekaj na strawnem…

— Spieszy ci się... a jak krzyku narobi i do kozy...

— A chustki! a ręce…

— Brońże Boże udusim…

— No… na to są u nich doktory, niechno jej dadzą tego lekarstwa co odmładza…

Rozśmieli się oba… Cypruś dobył karty zatłuszczone i zaczęli grać w elbika na kredyt…

Byli to podobno ci sami ludzie, których trwożliwa Starościna widziała z okien czatujących w ulicy; bo istotnie nie schodzili prawie z przeciwka, szczególniej wieczorami. Na Tłumackiem w rogu stał powóz zamknięty, na którego koźle furman zawsze drzémał. Brano go pospolicie za najemną dryndę, której jakoś szczęście nie służyło, bo jej nikt nigdy nie brał.

Furman znać był ospały, gdyż nawet jeźli przychodzień chciał nająć, pomruczawszy odwracał się na drugą stronę, otulał płaszczem i spał znowu.

LXI.

Ulice pełne były ludu… cała stolica jednym głosem brzmiała: Naczelnik narodu!! Wojska dotąd zwycięskie ciągnęły przez miasto na okopy… na czele ich z dobytym pałaszem jechał konno Tadeusz Kościuszko, ów wybraniec kraju… ukochany, ale smutny i ponury. Laury i zielone gałęzie i wieńce kwiatów rzucano mu pod nogi — uśmiechnął się tęskno, ale z czoła nie schodziła chmura.

Tłum i ścisk wszędzie po drodze, którędy szły wojska, był taki, że kobiéty omdlewały — z okien wisiały kobierce, wstęgi, opony, a strojne panie wołaniem i bukietami starały się ściągnąć na siebie oczy — wódz rzadko spojrzał a rzadziej się jeszcze uśmiechnął…

Aż na zawrocie ulicy… oczy jego padły na tłum i zatrzymały się wryte w jedno miejsce, ręka machinalnie ściągnęła konia, tak że stanął i spiął się. W rogu kamienicy przy ścianie stały w ciżbie dwie kobiéty, jedna czarno ubrana z ręką na temblaku, druga ubogo i skromnie z twarzą bladą i smętną, z siwiejącemi włosami u skroni.

Naczelnik rękę podniósł do czapki, uśmiechnął się do nich… ale zatrzymywać nie mógł, nieco tylko głowę odwrócił.

Kobiéta w czarnej sukni krzyknęła… Naczelnik dojrzał że omdlała, chciałby był może stanąć, ale wojsko następowało, konie się parły… ludzi tysiące patrzało, siwy się pod nim targał… musiał ruszyć dalej.

Z ręką na temblaku kobiéta leżała… tłum koło niej, ratował kto jak mógł, chłopcy pobiegli po wodę, panie z pierwszego piętra przysłały jakąś wódkę… ulicznik jeden pióro smalił, aby ją ocucić… baby krzyczały, że zmarłego by piskiem mogły obudzić… Wniesiono chorą do kamienicy…

Z przeciwnej strony w oknie domu stał z okiem wlepionem w tę kobiétę wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i kapeluszu włoskim nasuniętym na oczy… pałając jakby gniewem i niecierpliwością… Dalej jeszcze w drugiem oknie kobiéta blada, pięknych rysów, nie młoda z rękami złożonemi jak do modlitwy wpatrywała się w mdlejącą i łzy jej ciekły po twarzy. Zdawała się sama blizką omdlenia.

Z górnego piętra wychylony w czapce niepozornej, mężczyzna młody jeszcze, z wąsami, blady, jakichś rysów nie polskich, spoglądał to na idące wojsko, to na kobiétę i śmiał się ironicznie… złośliwie. Z pod płaszcza wyglądała mu zaciśnięta dłoń grożąca, a z pod warg wązkich, bielały drobne zcięte zęby… mruczał podśpiewując pod nosem… *Rira bien qui rira le dernier!*

Mężczyzna w kapeluszu włoskim, gdy Naczelnik spojrzał, gdy kobiéta omdlała, gdy tłum ją otoczył, oczyma zmierzył ich wszystkich i targnął na sobie płaszcz aksamitny.

— Dość że już tego! — rzekł po cichu — brakło żeby ją palcami wytykano… żeby o niej bajki pletli, żeby porównywano, domniemywano się… bądź co bądź… skończyć muszę.

To mówiąc zszedł ze schodów domu, wmięszał się w tłum, prześliznął niepostrzeżony w róg Bielańskiej ulicy, i obejrzawszy do koła, wszedł do znajomego nam szyneczku, w którym Dyzma z Cyprusiem grali znowu w elbika.

Nie mówiąc słowa pochwycił Dyzmę za ramię i wypchnął go przezedrzwi, przeszli na Tłómackie…

— Co myślicie próżniaki i nicponie? — zawołał — długo to tego będzie?

— JW. panie, choćby tego — odparł Dyzma wzruszony niespodzianem najściem — cóz my zrobimy, kiedy nie wychodzi?

— Nie wychodzi? I teraz jest w mieście.

— W biały dzień, choćby tego JPanie, to niepodobna.

— A wieczór nie wyjdzie, więc…

— Trzeba choćby czekać okoliczności.

— Do sądnego dnia?

— Tego wiedzieć nie można… może i rok trwać, jeźli się do tego baba nie weźmie… Tylko kobiecina jaka poczciwa co może ją wywabić… o mroku…

Mężczyzna pomyślał… Dyzmie wskazał oczyma, aby szedł.

— Wywabią ją… ale baczność…

— A już co się tyczy nas, choćby tego… może Jpan być spokojny, że zakneblujem i w powóz ją oddamy, jak się należy.

Nie odpowiadając słowa kłaniającemu się słudze, nieznajomy zawrócił się niecierpliwie i poszedł żywo.

— Ot to, choćby tego, mu pilno! — mruknął Dyzma… a nawet na piwo dziś nie dał… taki czegoś sierdzisty… No! ale jak babę pośle, to się sporządzi jak należy.

LXII.

Ciemno, cicho było w Ksawerowej mieszkaniu... Helena spojrzała na rękę zranioną jakby pytała, rychło się zgoi i władnąć sobą pozwoli.

— A cóż? — wołała z zapałem do Ksawerowej zamyślonej — a cóż? gdym mówiła wam że to mąż wielki! że to nie jest człowiek pospolity... czy kłamałam, czym marzyła? Czy serce źle mi naówczas wróżyło? alem tylko spojrzeć nań mogła i — pożegnać.

O! teraz — dodała — stokroć jeszcze więcej chcę dopełnić postanowienia mego... Pójdę, pójdę walczyć za ojczyznę... Oddam jej życie złamane... ręka się goi, siła powraca, utrzymam karabin... pójdę z nim! za nim...

— Zlitujże się — poczęła Ksawerowa — to już tak coś dzikiego a niesłychanego, że ci się chyba z desperacyi zamarzyć mogło. Ani ty tam potrzebna, ani ci to przystoi!

Hela nie odpowiedziała nic, ale znać było z wyrazu twarzy, iż się od zamiaru odwieść nie dała.

— O! jak mi się dziś — rzekła po chwili — ta myśl uśmiecha! Wszak on będzie wojskami dowodził. Mnie nikt nie pozna... będę go zasłaniać i bronić... zginę w jego oczach śmiercią bohaterską. Nie jestże to stokroć słodszem, niż gnić w tem życiu bez nadziei i przyszłości.

Ksawerowa głową tylko i ramionami wzruszyła, nie chcąc się już sprzeciwiać, wzięła to za marzenie tak dziwne i niepodobne do spełnienia, iż się go nawet nie lękała. Rozmawiały o rzeczach obojętnych, gdyż matka starała się umyślnie zwrócić do innego przedmiotu, gdy we drzwiach zaszeleściała suknia kobiéca. Nieznajoma całkiem twarz ukazała się przez drzwi pół otwarte.

Była to kobiéta niemłoda, twarzy niemiłej, ruchliwej, konwulsyjnemi jakiemiś minami zeszpeconej. Zaraz z progu, wyciągnąwszy szyję, obejrzała niespokojnie izdebkę, osoby w niej znajdujące się... skłoniła się bojaźliwie, zaczęła na sobie suknię szarpać i poprawiać... oglądać, krygować... dygać i śmiać się.

— Wszak panna Helena? — spytała patrząc na rannę.

— Ja jestem, albo raczej byłam nią — odpowiedziała zbliżając się Helena — bo teraz wyszłam za mąż.

— Ale... wychowanka pani Ksawerowej?

— Tak jest, moja...

Przybyła pani zamilkła... szukała czegoś w woreczku, spuściła głowę, podniosła oczy, odkaszlnęła, podeszła krok i szepnęła Helenie do ucha —

— Dwa słóweczka... pod sekretem!

— Przed matką moją, ja nie mam tajemnic — zawołała cofając się Hela.

— A no jeźli tak... to bardzo ślicznie, bardzo ślicznie...

Tu zatrzymała się, poczęła znowu się krzywić, miotać i wykrztusiła prędko a cicho.

— Pewna osoba, którą los pani żywo obchodzi — tak, żywo obchodzi — powtórzyła śmiejąc się — życzy sobie dla nader ważnego interesu... nader ważnego! widzieć się z panią... natychmiast! natychmiast! Jest tego pilna, pilna potrzeba... a ja panią zaprowadzę... trzy kroki...

Helena spojrzała na matkę, matka na nią, w obu ta kobiéta wcale nie obudziła zaufanie, sam jej pospiech i niepokój podejrzenie wywoływał.

Helena zrazu nie umiała nawet nic odpowiedzieć, przyszło jej na myśl, że choć nie dosyć trafny był wybór posłańca, wzywano ją może... do tajemniczej matki... do tej, która ją raz ucałowała... ze łzami. Ale mógł też to być zarówno podstęp pana jenerała. Zawahały się.

Matka byłaby pewnie użyła swej towarzyszki, już przynajmniej z twarzy znanej Ksawerowej.

Wdowę tknęło w serce jakby przeczucie... Odwiodła Helę na stronę i rzekła jej po cichu— Zaklinam cię, proszę, nakazuję, nie idź...

Tymczasem posłannica bardzo niespokojnie rzucała oczyma, kaszlała, udawała obojętną, ale widocznie była pomieszaną i niecierpliwą.

— No jakże, idziemy? prawda? idziemy! Trzy kroki, nie daleczko... a ja już zaprowadzę i odprowadzę i proszę się tylko niczego nie lękać... Niech pani się ubierze i... ot, idźmy.

— Nie — odpowiedziała Helena — widzisz pani rękę moją, jestem ranna, nie mogę wyjść, mam siostrę chorą... Osoba, która się mną interesuje, raczy sama nas odwiedzić, może być pewną, że tu nikogo nie znajdzie.

— Ale ona wychodzić nie może! żywo przerwała nieznajoma — pani źle czynisz... słowo daję, pani na tem wiele, wiele utracisz... Pani się nie wiedzieć czego boi...

— Ja się niczego nie lękam, a pójść nie mogę...

— Ale my tu mamy powóz, to pół godziny czasu.

— Upewniam panią, że nie pójdzie — dodała Ksawerowa — to próżno...

— Śmieszna rzecz! szepty! narady! niedowierzanie! Czegoż się panie obawiają... ja jestem osobą też uczciwą.

— Bardzo wierzę — odezwała się wdowa — ale pani nam jesteś nieznajomą... Helena chora, a ja jej wyjść nie pozwolę.

— I ja nie pójdę — dodała Helena — stanowczo mówię pani — nie pójdę.

Przybyłej Jejmości zaiskrzyły się oczy, zaśmiała się sucho, złośliwie.

— Ale bardzo dobrze! ale mniejsza o to! jak panie chcą! mnie o to nie idzie, bynajmniej... robiłam łaskę ofiarując pośrednictwo... Jeźli się na tem dużo, dużo, dużo straci... cóż mnie to ma obchodzić... A straci się, to pewna, tyle tylko mówię... straci!

Chciała odejść niby i zwróciła się powtarzając jeszcze.

— Dobranoc... jak wola.

Potem od progu jeszcze zawołała:

— Daję chwilę do namysłu!

— Nie mogę wyjść —

— Nie pozwolę jej wychodzić! -- odpowiedziały kobiéty.

— Ale to jest smieszne... słowo daję, śmieszne... więc żegnam — powtórzyła jeszcze kobiéta.

— Żegnamy panią.

— Dobranoc... jak wola...

— Dobranoc...

Tak się jej ledwie pozbyły... Z niecierpliwością zbiegła ze schodów, zatrzymując się parę razy, jakby czekała, czy za nią nie gonią, jakby sama powrócić chciała... aż w końcu pomrukując coś gniewna, zeszła na pierwsze piętro.

Dziwnym wypadkiem Starościna, która we dnie wychodzić się obawiała, właśnie tę chwilę wieczorną obrała dla wymknięcia się z domu. Okryta czarnym kwefikiem wysuwała się ostrożnie z bramy tak, że wysłanka krok w krok szła tuż za nią. Zeszły razem ze schodów, do bramy, w ulicę... Traf chciał też, by się obie w jedną skierowały potem stronę, ale zaledwie kilka kroków Starościna postąpiła ku Tłumackiemu, gdy dwóch silnych ludzi rzuciło się na nią z obu stron, jeden z nich usta jej chustką zatulił, i niosąc na rękach popędzili z nią do powozu stojącego w rogu ulicy. Tu rzucili ją we drzwiczki otwarte, powóz zamknięto i konie, które wypoczęły były, stojąc dni kilkanaście, zacięte silnie poleciały galopem.

Nieznajoma jejmość, która powoli się za nią wlekła, zgryziona niepowodzeniem swojego poselstwa, stanęła w początku osłupiała, rzuciła się aby ludzi powstrzymać, domyśliwszy się pewnie jakiejś omyłki, ale na nią nie uważano. Nim się zebrała zaprotestować, porwanie w mgnieniu oka było faktem spełnionym, a kareta uniosła nieszczęśliwą, przelęknioną Betinę.

Kobiéta stała zamyślona, pokiwała głową, pomruczała coś do siebie, ruszyła ramionami, rozśmiała się i w mroku nocnym znikła pomiędzy domami.

Dyzma tegoż wieczora upił się jak przewidywano, grał w elbika i poszło mu tak nieszczęśliwie, że nietylko zarobione pieniądze, ale część stroju i nieodbicie potrzebne toaletowe przybory zostawił w rękach przyjaciół.

LXIII.

Jakkolwiek los Starościnej niewiele czytelników obchodzić może, zważywszy jednak iż cierpiała niezasłużenie za cudze grzechy, musimy kilka słów opisowi tego, co ją spotkało, poświęcić. Mimo że w życiu Starościnej nie zbywało na różnych przygodach, pierwszy to jednak raz trafiło się jej w ten sposób być gwałtownie uwięzioną. Bywała porywaną ale mniej podstępnie, i z oporem tylko dla przyzwoitości okazywanym. Ten rapt wydał się jej dla towarzyszących mu okoliczności groźniejszym niż wszystkie inne. Naprzód nie mogła przypuszczać, aby pobudką do niego miała być miłość nieszczęśliwa, gdyż zakochany byłby wprzód zapewne łagodniejszych próbował środków. Lękała się zemsty rewolucji nad przyjaciółką Moskali, ale i ta inaczej by się pewnie była objawiła. Ostatnie i jedyne prawdopodobne przypuszczenie było, że mogli od niej żądać pieniędzy... w istocie wychodziła zawsze obładowana w precioza i weksle; tym razem miała je również przy sobie. Ale mieliby je czas wydrzeć natychmiast w powozie, do którego wrzucona z jakimś jegomością grożącym jej, jeźliby krzyczeć śmiała... wcale nie została odartą... Upewnił ją też, że o życie wcale się obawiać nie ma. Groźby uczyniły ją niemą, powóz leciał po bruku szybko, firanki były pospuszczane, mężczyzna silnie pochwyciwszy trzymał ją za rękę. Starościna parę razy chciała się rzucić ku oknu, ale widok pistoletu... zmusił ją siedzieć spokojnie.

Nie mogła wcale rozmierzyć czasu, tak była pomieszana. Jazda szalona trwała nie zbyt długo, na ostatek kareta stuknęła o próg we wrotach i zatrzymała się nagle, otworzono drzwiczki, głos z zewnątrz kazał jej wysiadać. Znalazła się na progu gmachu czarnego i posępnego, otoczonego podwórzem zamkniętem wysokiemi murami. Mężczyzna który ją przywiózł, wyprowadziwszy tylko, siadł zaraz nazad do powozu i wyjeżdżać kazał, a strwożoną i drżącą kobiétę wciągnięto do ciemnego korytarza, którego drzwi się za nią zatrzasnęły.

Tu dopiero postrzegła Starościna, że wprowadzająca ją do tego, jak się jej zdawało, więzienia, była kobiétą, ubrana czarno, jakby po zakonnemu i domyśliła się, że musiała być w klasztorze. Słabe światło lampy palącej się przed wielkim krucyfiksem drewnianym w głębi, oświecało ciche, jak grób ponure i smutne, długie, czarne galerje.

— Proszę pani na górę! — powtórzył głos przewodniczki raz i drugi.

— Ale cóż to jest! co za gwałt! kto mnie tu przywiózł? — wołała Starościna.

— Wszystkiego się pani dowie od matki przełożonej — odpowiedziała jej podżyła kobiéta — niech pani idzie do przeznaczonej celi.

Betina oparłszy się o mur płakała... ale w końcu pomyślawszy, że w rozmowie może się to wyjaśnić... powlokła się na piętro. Tu otwarły się drzwi czarne głęboko osadzone w murze i pokazała izdebka mała, schludna, biała ale nadzwyczajnej prostoty, niemal nagości. Na stole paliła się świeca; w kącie stało łóżeczko wązkie, klęcznik przy niem i krzyż. Okno przerzynały kraty, a z za nich na jaśniejszem nieco niebie przeglądały czarno gałęzie ogrodu.

Chłód tych murów owiał biedną Starościnę, która upadła przerażona na krzesło. W tem szybki krok dał się słyszeć w kurytarzu, u drzwi siostra, która przyprowadziła Starościnę przyklękła, i weszła osoba w wieku ubrana czarno z krzyżem na piersi. Betina porwała się z siedzenia ku niej.

— Zlituj się pani, wytłumacz mi... co to jest! gwałt! omyłka! jam nic nie winna.

Ksieni skinęła na siostrę, aby odeszła, drzwi się zamknęły.

— Siadaj pani, uspokój się — rzekła — nic ci tu złego nie grozi.

— Ale za cóż mam być zamkniętą?

— Posłuchaj pani — rzekła łagodnie Ksieni — są wypadki, w których dla spokoju rodzin, dla ich sławy, nieubłagana konieczność zmusza chwilowo usunąć od świata osoby, których swoboda zagraża drugim niewolą. Z mocy danych mi z góry, od mojej władzy rozkazów, którym być muszę posłuszną, obowiązana byłam przyjąć tu panią, dać jej wszelkie wygody, i o nic jej nie pytać, w żadne się nie wdawać tłumaczenia... nie słuchać ich i nie odpowiadać... Myśmy do ścisłej obedyencyi obowiązane, pobudki tego chwilowego zamknięcia pani są i pozostaną mi nieznane... mogę tylko spełnić jej życzenia, jeżlibyś czego potrzebowała.

Starościna porwała się za włosy, zaczęła płakać i krzyczeć jak dziecko.

— Ja tu oszaleję — zawołała — to zbrodnia, lub omyłka, jam nic nie winna, ja tego nie rozumiem... niemam żadnej familii... nikt do mnie nie ma prawa.

— Wszystko to, kochana pani do mnie nie należy — odparła Ksieni — racz się pani uspokoić i powiedzieć mi tylko, czém jej służyć mogę.

Ale Betina płakała.

— Uspokój się pani, bądź co bądź, to długo trwać nie może... a przecież u nas nic nie grozi.

Słów brakło Starościnie zachodzącej się od płaczu.

Ksieni sądziła, że właściwiej będzie zostawić ją samą.

— Poleciłam pani dać jak najwygodniejszy pokój, widzę że mnie niezrozumiano... przejdziemy może do weselszego mieszkania.

I tego Betina słuchać nie chciała.

— Sądzę że rozwaga własna najlepiej panią uspokoi — rzekła staruszka — i ukłoniwszy się nieutulonej—odeszła.

LXIV.

Wdowa po wyjściu nieznajomej kobiéty od siebie, przez ciekawość chciała zobaczyć, w którą się uda stronę ta tajemnicza posłanka; otwarłszy więc okno pilnowała... Widziała ją wychodzącą z bramy, a po przedzie idącą Starościnę, po ubraniu i po chodzie poznała; była więc mimowolnym świadkiem całej sceny porwania... Postrzegła iż kobiéta za nią idąca chciała mu zapobiedz. Nie mogła wątpić, iż zasadzka, w którą Starościna wpadła omyłką, przygotowana była na Helenę. Krzyknęła z podziwu i oburzenia.

— Helo! — zawołała — a! to była zdrada! patrz! Starościnę, która wyszła w tej chwili, zamiast ciebie porwano.

Obie kobiéty żywo zajęte wypadkiem zbiegły na pierwsze piętro, i dowiedziały się od sługi, że Starościna istotnie wyszła przed chwilą. Nie było więc wątpliwości, iż szczęściem tylko uniknęła Helena jakiegoś podstępu, o który nie posądzała kogo innego, tylko Puzonowa.

Trwoga i zamieszanie wzniecone tą przygodą jeszcze się nie uspokoiły, gdy — jakby naumyślnie tego wieczora wszystko się razem zbiegać miało... weszła szybko kobiéta, która niedawno towarzyszyła poważnej niewieście, (za matkę Heleny uważanej przez Ksawerowę).

Wbiegła ona drząca, z obawą, oczyma spiesznie rozglądając się po mieszkaniu, a widząc dwie kobiéty strwożone i pomieszane, w pierwszej chwili odezwać się nie śmiała. Z pospiechu jej i wyrazu twarzy wnosić było można, iż przychodziła także z poselstwem ważnem.

— Znajdujesz nas, dobra pani — odezwała spiesząc na powitanie jej Ksawerowa — w trwodze i niepokoju z powodu wypadku, który się stał przed chwilą.

— A! cóż się stało?

— Niema pół godziny — przybyła tu jakaś nieznajoma kobiéta, domagając się od Heleny, aby z nią natychmiast szła dla jakiegoś tajemniczego interesu, niecierpiącego zwłoki. W początku myślałyśmy obie, że może... osoba ta, która tu pani pierwszą razą towarzyszyła, a która nam bytności tu swej tak dobroczynną zostawiła pamiątkę... wysłała ją po Helenę.

— A! na Boga! — z trwogą zakrzyknęła przybyła — toby być nie mogło!

— Odradziłam Helenie ażeby nie szła... wieszże pani co się stało? Oto omyłką widząc tę kobiétę wychodzącą z naszego domu z inną, obcą, która ją wypadkiem poprzedzała, porwano do powozu i uwieziono... naszą sąsiadkę Starościnę.

Przybyła wzdrygnęła zakrywając sobie oczy.

— Łaska Boża ocaliła ją! — zawołała — ale omyłka odkryć się musi, a niebezpieczeństwo grozić będzie. Jestem właśnie wysłaną do was, abym wam, którzy jej zdradzić nie możecie, wyjawiła część tajemnicy, dla waszego spokoju i bezpieczeństwa potrzebnej.

Pani ta, którą widziałyście ze mną, jest — jakeście domyślać się mogły, w istocie matką Heleny. Ale Helena jest dziécięciem, z którem nieszczęśliwa ukrywać się musiała. Mąż podejrzywał ją, śledził i pilnuje dotąd, w obawie o sławę jej i swoją; on gotów jest na wszystko, byle zatrzeć ślad słabości. Wymogła na nim pani, iż na życie jej córki nastawać nie będzie, ale nieszczęśliwe podobieństwo twarzy go niepokoi, postanowił uwieść za kraj Helenę i umieścić ją, zamknąć gdzieś daleko... zapewne w klasztorze... któż zgadnie zresztą, co on wymyśleć może, by się ztąd jej pozbyć!

Zamach dzisiejszy, o którym ja wcześniej przychodząc byłabym was ostrzegła, był przeciw niej wymierzony. Na

Boga niechże ona nie wychodzi, niech się nie pokazuje, ukrywa... a może znajdą się jakie środki... może potrafimy zabezpieczyć od dalszego prześladowania.

Ale czekaj pani... po tych wypadkach — dodała kobiéta — i mnie też nieznajomej łatwo możecie nie ufać... Oto jest od matki dla Heleny pierścień i — medaljon.

Helena spojrzała mimowolnie — był to drugi medalion zupełnie podobny do tego, który miała zostawiony przez Swobodę... załamała ręce i pobladła.

— On więc był ojcem moim! — zawołała. — Wyrazy te tylko dla Ksawerowej były zrozumiałe... Hela stała zdrętwiała, wzięła medaljon, łzy się jej potoczyły— całując go...

— Cóż mam czynić? — spytała — gdzie się udać? Nie wolnoż mi choć na chwilę, raz zobaczyć jeszcze tej, której nie mam prawa dać imienia matki?

— O ile wiem od pani — odezwała się kobiéta — wymożono na niej przysięgę, że nigdy dobrowolnie szukać was i starać się zbliżyć nie będzie. Byłoby to dla niej osłodą, pociechą, życiem... ale o was idzie... bobyście wy przypłacić mogli...

Hela pochwyciła ją za rękę.

— Jesteś jej powiernicą i przyjaciółką — rzekła — będziesz wiedziała co jej zwierzyć możesz, aby macierzyńskie serce nie pękło. Kto wie co się stanie ze mną, niech wie o losie moim... i o tem com wycierpiała...

Ksawerowa chciała ją powstrzymać.

— Nie — rzekła Helena — tyś matką i ona mi jest matką, winnam i jej spowiedź z doli mojej, winnam i od niej rady zasięgnąć co czynić... Życie mi ciąży.

Z siłą i energją, na którą się zdobyła, poczęła Helena opowiadanie przygód swych lat ostatnich, nie kryjąc nic, nie obwiniając nikogo prócz siebie. Doszła aż do ślubu, znalezienia się po ślubie, i poznania ukochanego w tym wodzu, któremu naród powierzył losy swoje. Dowiedziała się także z tego przybyła, iż osobą porwaną była Starościna, która tak czynną rolę odegrała w jej nieszczęściu.

— Otóż są dzieje moje — zamknęła nareście — co z sobą począć nie wiem! Proś o radę matki, niechaj ona mną rozporządza... ale jeżli mi jej rozkazu zabraknie... postanowiłam przebrana wstąpić do wojska i zginąć.

Przybyła ostatniego przypuszczenia słuchać nawet nie chciała, widząc w nim razem z Ksawerową chwilowej eksaltacyi skutek.

— Wszystko spełnię coście mi polecili — rzekła — ale wiadomości od nas spodziewać się nie możecie. Jesteśmy śledzone, szpiegowane i kto wie czy ja dzisiejszej mojej wycieczki nie przypłacę niewolą lub wygnaniem. Powrócę gdy będę mogła oczów jego uniknąć. Kiedy! Bóg wie — może nigdy. A jeżli mnie nie będzie, pani nie zwierzy się nikomu — sama zaś teraz na krok się z domu wyrwać nie może.

— Więc powiedz tej... tej, którą kocham tem bardziej że cierpi dla mnie — zawołała Helena — niech się nie troszczy o szczęście moje, o życie moje. Szczęśliwą być nie mogę, żyć nie pragnę, dziecko bez imienia, kobiéta bez przyszłości... chcę się poświęcić ojczyźnie.

Znowu obie z Ksawerową nie dozwoliły jej dokończyć.

— Powiedz to jej — powtórzyła Helena — ona jedna wstrzymać mnie ma prawo i rozkazać... inaczej.

— Ale przyszłość! przyszłość się może rozjaśnić... pani jesteś młodą. Bóg dobry — zawołała posłanka.

— O! nie! nie! — przerwała sierota — nie mam nadziei, w przyszłość nie wierzę, czarnym całunem zakryta przedemną...

Gdy po długiej rozmowie zapragnęła nareście odejść nieznajoma, Ksawerowa i Helena obawiały się ją wypuścić samą. Obejrzały wprzódy ulicę, przekonały że w niej nie było nikogo na czatach, a wdowa przeprowadziła ją aż do ludniejszego krakowskiego przedmieścia, gdzie w tłum się wmieszawszy, niepostrzeżona zniknąć mogła.

LXV.

Odtąd mieszkanie Ksawerowej stało się jakby więzieniem, zamykano drzwi, obawiano się przychodzących, strzeżono ludzi nieznanych, chociaż nic się zagrażać nie zdawało. Podejrzane owe postacie, które długo snuły się przed domostwem, znikły.

Do pewnego stopnia i to uspokajać mogło, że Starościna pochwycona omyłką nie powracała do domu. Sługi nawykłe do dłuższych jej, często niespodzianych wycieczek, nie bardzo się o nią troskały... prowadziły życie swobodne i korzystały z wytchnienia.

Do Heleny tylko jenerał pisywał nieustanne listy, które ona nieraz pieczętowane odsyłała. Postanowienie jej było niezmienne, ani go widzieć ani z nim żyć nie chciała.

LXVI.

Nigdy może większy ciężar nie spoczywał na barkach człowieka nad ten, który włożono na przyjaciela Washingtona... dając mu spadek występków i omyłek, dziedzictwo niezliczonych błędów do dźwigania, a w pomoc naród pełen zapału ale od czynu odwykły i zwichnięty. Wiły się około niego i najpoczciwsze a bezsilne chęci garści ludzi zacnych a słabych, i niecne intrygi ambitnych, i marzenia utopistów, i niecierpliwa niewiara a sceptycyzm tych, co upadek uważali za nieunikniony a woleli co prędzej paść, by... leżeć... Najenergiczniejszy z ludzi osłabłby był w tych objęciach, raczej obręczach przyjaciół natrętnych, nieprzyjaciół zamaskowanych, zazdrośników i intrygantów. Dnia ni nocy nie miał wódz dla siebie, ani dla swobodnej myśli o przyszłości — dzień i noc musiał słuchać programów, nalegań, projektów narzucanych i najsprzeczniejszego nacisku zdań tysiąca ludzi.

Znosił to z heroizmem... czuł on, że wszystkie węzły gordyjskie położenia — szablą przeciąć będzie musiał.

W tych dniach zamętu udało mu się przecie jednego wieczora na godzinę zostać sam na sam z tym bohaterskim szewcem, którego zwano Kilińskim.

Był to człek prosty a serce wielkie (czyli jak on sam zwykł był pisać „wielgie", bo autor pamiętnika, który jest arcydziełem szczeroty i naiwności, nie był w ortografii mocnym).

zowie. Biła się z nami razem, jak lew... Kula moskiewska rozdarła jej ramię. Skromne to dziewczę, sierota.

— To pewnie ona! ale imię!

— Zdaje mi się, że ją nazywano Heleną.

— Tak jest! to ona! — powtórzył wódz — pułkowniku niechże ja ją znajdę, zobaczę i powinszuję bohaterstwa... Nie wiesz gdzie mieszka?

— Jakbym ja niewiedział, gdzie mieszka — odparł Kiliński — u mojego dobrego przyjaciela Papronskiego przy



Kobiéta w czarnej sukni krzyknęła... (str. 269).

— Mój pułkowniku — rzekł do niego wódz pod koniec rozmowy — zróbże mi też łaskę... Widziałem w ulicy idąc z wojskiem kobiétę z ręką na temblaku, znajomą mi dobrze i dawno. Czyście też w tych wypadkach nie mieli jakiej rannej? Czybyś ty o niej nie wiedział?

— Czekaj ojcze naczelniku — rzekł Kiliński uderzając się w czoło — czekaj! zaraz! Była! była ranna kobiéta ślicznej urody... panna... ale kadukże ją spamięta jak się

Bielańskiej ulicy. Papronski mieszczanin... ojciec jego był sklarzem, ale on mając kamienicę nie praktykuje już... mówiłem mu że głupstwo robi... no! ale wola jego...

Czekajże, ojcze naczelniku, aby nie było bałamuctwa, poszlę się dowiedzieć o tę heroinę.

— Każże spytać pułkowniku, czy Siechnowicki widzieć się może?

— Któż Siechnowicki? — spytał Kiliński.

— To ja.

— Macie ojcze drugie nazwisko?

— Mam, mój pułkowniku, choć i jedno poczciwie nosić trudno.

— Nie, wam — rzekł Kiliński — stanie laurów i na dwa.

— Ale słuchajcie — przerwał wódz — gdyby można zapytać... jabym poszedł zaraz... człek jutra nie pewien... zaczekałbym w bramie.

— Kiliński uśmiechnął się z tej niecierpliwości.

— Ej! ojcze — rzekł — coś to w tem jest?

— To jest — odparł Kościuszko — że ja stary szanuję ją jak siostrę rodzoną.

Pułkownik skłonił głowę.

— Chodźmy — rzekł — ino wyjdźmy tak, aby nas szpiegi własne nie widziały... i daremnych plotek nie było.

— Powiecie, żem chodził widzieć bohaterkę wielko-czwartkową.

— Gdyby nie była tak piękna — szepnął Kiliński.

Zarzuciwszy płaszcz, czapki nasunąwszy dobrze na oczy wyszli tylnemi drzwiami. Szczęściem dla Kilińskiego wieczór był ciemny, bo go tak znano w mieście, że ludby zaraz go otoczył. Przesunąwszy się uliczkami bocznemi ku Bielańskiej stanęli w bramie domu Paprońskiego. Kiliński wąsa pokręciwszy (a był mężczyzna poważny i postawny), poszedł rozpytawszy się na drugie piętro. Nie rychło mu odryglowano, pani Ksawerowa zobaczywszy mężczyznę barczystego, wąsatego, wahała się go puścić.

— Moja mościa dobrodziejko — rzekł pułkownik przeze drzwi — przychodzę ja tu ze zleceniem do naszej heroiny, Heleny... od pana... Siechnowickiego.

Na to imię Helena wybiegła zapłoniona z drugiego pokoju.

— A to pani! — dodał Kiliński... Pan Siechnowicki prosi o audyencyę, nie wstyd mi mu służyć za szambelana...

Z radością i niecierpliwością, choć w początku zawahawszy się, proszono; znana twarz poczciwego pułkownika ręczyła, iż w tem przynajmniej podstępu być nie mogło.

— Słuchajcież moje dobrodziejki — rzekł Kiliński — przyjmijcie go tu... ja sobie u Paprońskiego poczekam; co wam mam w rozmowie zawadzać, ale mi dajcie znać, gdy będzie odchodzić, bo go samego nie puszczę.

Kiliński odszedł, ucałowawszy rękę Ksawerowej i Heleny, szybki chód dał się słyszeć na schodach. Siechnowicki stał w progu. Spojrzał radośnie, wesoło pochwycił rękę Ksawerowej i zbliżył się żywo do Heleny. (Dok. nast.)

NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

IV.

KRAINA MIĘDZY GARONNĄ A OCEANEM.

> Ziemia uprawy nie mająca nie pustuje, ale głóg tylko i chwast, jady i straszydła wydaje.
>
> Albertus z wojny.
>
> Grzechowi ciemnoty potrzeba. Górnicki.

Jest w części południowo-zachodniej Francyi, między rzeką Garonną a Oceanem, rozległa kraina, mająca swoją odrębną fizyognomję, swoje obyczaje wyłączne i różne od ogólnego narodowego charakteru. Podróżny, zmierzający z Bordeaux ku Bajonnie, napotyka niebawem, niemal pod bramami stolicy dawnéj Gujenny [1]) płaszczyznę, któréj niezmierna przestrzeń, ograniczona wodami Oceanu, jednostajnością swoją oko utrudza. Grunt *landów* [2]) jest czarny; a gdzie się kończą ruchome wydmy piasku, nietknięte ani pługiem ani rydlem, tam zaczynają się cuchnące bagna, pokryte zielonawą i lepką skorupą, w których noga grzęźnie po kostkę. Nie ujrzysz tu ani owych „smaczno brzmiących strumyczków“ (jak powiada Grochowski), skrapiających kwieciste brzegi; ani ocienionych wierzbami zdrojów, których rzeźwiąca woda rozlewa się na łożu, wyścielonem białemi kamykami, i odświeża mchy rosnące dokoła; ale tylko małe jeziorka, równe z ziemią, nie znające innych ryb, prócz żaby; nie zwiedzane przez nikogo, prócz spragnionéj trzody i kurek wodnych. Tu i ówdzie, i to w wielkich odległościach, ukazują się rzadkie klomby karłowatéj

[1]) Gujenna wraz z Gaskonją stanowiła najobszerniejszą prowincję dawnej Francji. Utworzono z niej ośm całkowitych dzisiejszych departamentów: Gironde, Dordogne, Lot et Garonne, Lot, Aveyron, Landes, Gers i Wyższych Pirenejów; a nadto zaokrąglono z niej pięć innych: Corréze, Tarn et Garonne, Górnej Garonny i Niższych Pirenejów. Właściwa Guyenna to dawna Akwitanja. Bordeaux (Burdigala), stolica niegdyś samoistnej prowincyi, w połowie dopiero XVIgo wieku wcielonej do Francyi, jest dziś miastem stołecznem departamentu de la Gironde.

[2]) Landes, grunt piaszczysty, do uprawy niesposobny; golizna, piaski. Trotz.

sośniny; a posępny i ubogi liść tego drzewa pustyni pomnaża jeszcze żałobny widok owych samotności; tak wszystko, aż do pożółkłych iglastych liści, pokrywających niepłodny grunt moczarów, *piniadami (pignadas)* tu zwanych, budzi smutek i tęsknotę. Wszędzie indziej ciągną się rozległe zarosty kolczatych jałowcow, kwitnących wrzosów i wachlarzowatej paproci. A po tych pustkowiach włóczą się trzody chudych owiec, których wełna tak jest ubrukana, że podróżny wtedy dopiero spostrzega trzodę, kiedy koło niej przechodzi, albo kiedy jednotonny i głuchy odgłos klekotek zwróci jego uwagę. A stróżem trzody, nadającym jedyny wyraz tej pustyni, jest człowiek wynędzniały, ogorzały, z czarnemi oczyma bez blasku, z licem wytrawionem nieustanną gorączką i z leniwym, ociężałym ruchem. Odzież jego brunatnego koloru—szczerotliwie przezwanego *couleur de bête* — włosy długie, czarne i spłaszczone, pokryte brunatnym beretem. Tak przybrany *pastur* (*pastour*), zasiadłszy nad brzegiem rowu, robi pospolicie pończochę, kaftan albo beret z wełny, za pomocą grubych drewnianych igieł. Kiedy odgłos kroków twoich oderwie go, nie powiem od jego dumania, bo o czemżeby dumał? — ale od jego samotności, *pastur* podnosi zwolna głowę, rzuca na ciebie z podełba wzrok, więcej głupowaty niż nieufny, i nie spuszcza cię z oka, aż cię przed nim jaki wzgórek lub sosnowy klombik nie zasłoni. On tak sam, tak dalece sam, że upaja się, o ile może najdłużej, szczęściem widzenia człowieka — biedny *pastur!*

Niekiedy, po prawej lub po lewej stronie ścieszki, wydeptanej przygodnie, spostrzegasz samotny krzyż; jest to poprostu młode drzewko, odarte z kory; mchy i licheny nową odziały je szatą; kilka grubych kamieni, skupionych u podnóża uzupełniają pomnik. Krzyż taki pospolicie uświęca miejsce, na którem zbrodnia dokonaną była, i często też pod niem ciało zamordowanego spoczywa.

Tu i ówdzie, na tej płaszczyźnie bez granic dla oka, wznosi się uboga chata, bez piętra i o jednej izbie: ściany wylepione są gliną, mieszaną ze słomą; drzwi, przedzielone przez połowę, służą razem za okno; dach składa się z kilku niezgrabnych krokwi, z utwierdzonym w górze podłużnym dylem, o który zaczepione żerdzie opadają po bokach, jak żebra szkieletu. Pod tym pierwocianym dachem, na wspólnem posłaniu z wrzosu, spoczywają pomieszane razem: trzoda, pies i pastuch w czasie słotnych nocy, pogodne nocy spędzają pod gołem niebem *sub dio.*

Trzysta lat temu, rzeka Adur nie miała, podobnie jak dzisiaj, ujścia swego przy Bajonnie; przerznąwszy szerokim korytem *landy,* nawiedziwszy w swoim biegu miasta: *Aize*, *Saint-Sever* i *Dax,* zwracała się ku północy, płynęła wzdłuż oceańskiego wybrzeża i rzucała się w morze przy *Cap-Breton*, ubogiej mieścinie dzisiaj, ale podówczas bogatej i pysznej swoim portem, zatłoczonym licznemi okrętami. *Cap-Breton*, niegdyś gród zamożny, kwitnący wywozowym handlem, podupadł skutkiem rewolucyi przyrodzonej; a Bajonna, zawistna jego spółzawodniczka, panoszy się jego dziedzictwem aż do czasu, kiedy nowy kaprys Oceanu lub rzeki złupi ją z kolei i stolicę bogactwa przeniesie na inny punkt wybrzeża, dzisiaj nieznany. Ślady tej geologicznej rewolucyi dzisiaj są jeszcze widoczne; a ciekawy wędrowiec może zwiedzić dawne łoże Aduru.

Od Bajonny do *Cap-Breton*, w odległości półtory mili od Oceanu, napotkasz łańcuch nieregularny, ale ciągły głębokich jeziorzysk, rozlanych w kierunku równoległym od morskiego wybrzeża. Te jeziorzyska, bardzo rybne, łączą się pomiędzy sobą podziemnemi ściekami, a z Oceanem przyrodzonemi kanałami. Są to szczęty dawnej rzeki; tyle tylko pozostało tamecznym mieszkańcom z rzeki, niosącej im bogactwo i zdrowie; podówczas bowiem te wody, dzisiaj po większej części drzemiące i stęchłe, były przejrzyste, szemrzące i bystre: te jeziorzyska, to Adur!

Z pomiędzy tych jeziorzysk, sześć ma nazwisko i jeograficzną wartość: jezioro św. Wincentego, *Soustons*, *Castels*, *Arjuzan*, *Mimizan i Bicaros.* Ale najcelniejszy z nich jest tak zwany staw kazowski *(Etang de Cazaux)*; zasługuje on na szczególną uwagę z dwóch względów: naprzód, że jest największy, powtóre, że pod jego drzemiącemi i zaledwie czasami pomarszczonemi od wiatru wodami, leżała niegdyś włość dosyć zamożna. Pewnej nocy, nocy straszliwej jak noc potopu, niesłychany wicher zmiótł wydmy piaszczyste, zabezpieczające wioskę; a fale Oceanu, cisnąc się otwartą drogą, zatopiły nieszczęsnych wioski *Kazo* mieszkańców, którzy byli pogrążeni we śnie, a którzy się już przebudzić nie mieli! Ilekroć upadają wody, krajowcy ukazują wędrowcowi jakiś piramidalny głaz, sterczący równo z powierzchnią stawu, i powiedzą ci, że to dzwonnica dawnej wioski *Kaza.* W pierwszej połowie bieżącego stulecia żył jeszcze czcigodny starzec, który przypadkiem nie znajdował się tej nocy w domu i sam tylko jeden ocalał. W porze letniej biedny starzec przychodził co wieczór nad brzeg stawu, przesiadywał tu po całych godzinach, nie spuszczając z oka zatopionej dzwonnicy, i gorzkiemi zalewał się łzami; bo tam pod ową wiejską kopułą odbyły się najpiękniejsze obrzędy jego chrześciańskiego żywota: chrzest, pierwsza komunja i ślub!

Nauczeni tą straszliwą klęską ludzie cichej zasługi zaczęli przemyśliwać o sposobach zabezpieczenia na przyszłość mieszkańców od podobnej przygody; usiłowali więc ustalić piaski, użyźniając takowe; a jeden z nich, którego pamięć dochowuje się z religijnem poszanowaniem w sercach krajowców, poświęcił cały swój majątek i usilność całego życia użyźnianiu wydmów. Rząd wsparł filantropiczne zamiary zacnego obywatela; a baron *d'Haussez*, którego również Ocean rewolucyi politycznych uniósł na swoich falach, przyczynił się w znacznej części do wykonania zbawiennego przedsięwzięcia. Nie szukaj go próżno w biogra-

fiach tak zwanych sławnych ludzi; nie ma tam miejsca dla ludzi cichej ofiary, dla skromnych wyrobników Chrystusowej winnicy, tylu się tam natłoczyło łupiezców cudzego dobra, politycznych trefnisiów i skoczków!

Jeziora te dostarczają niesłychanego mnóstwa ryb; a w czasie mrozów są przytułkiem niezliczonej liczby dzikich kaczek, tak dalece, że w owej krainie czas polowania na kaczki tak jest oznaczony, jak czas sianożęcia, żniwa, winobrania. I nie sądź, że to polowanie odbywa się w sposób zwyczajny, przez jednego lub kilku myśliwych, przy pomocy trzech lub czterech wyżłów; cała gmina zawiesza zwykłe swoje zatrudnienia, wybiera naczelników, urządza oddziały i z największą karnością dane wykonywa rozkazy. Jakkolwiek musi być liczne stowarzyszenie, zdobycz przewyższa zawsze powzięte nadzieje. Nierzadko się zdarza, że po dwóch dniach polowania uzbiera się 4.000 sztuk do rozdania. Działy robią się z najściślejszą sprawiedliwością, są one zawsze zastosowane do liczby członków składających każdą rodzinę.

Mieszkańcy oceańskiego wybrzeża, począwszy od Bajonny aż do Finistery, żyją z przewozu, rybołostwa i rozbicia okrętów. Jestto wiara głęboko zakorzeniona w umyśle tego nieokrzesanego ludu, że każdy rozbity okręt jest przeklęty od Boga i że dokonać tego, co burza rozpoczęła, rabując bez litości statek i ocalonych żeglarzy, przychodzi się w pomoc odwiecznej sprawiedliwości; wiara dzika, ostatni ślad krwawej czci Druidów, upowszechnionej i utrwalonej przez ciemnotę i chciwość.

Ludność nadbrzeżna odpychała dotąd wszelkie usiłowania cywilizacyi; zna tylko morze, swoje łodzie, haki i sieci. Morze jest dla nich folwarkiem, polem, winnicą; sprawiają je, orzą i gospodarują dowolnie; żniwa ich są wprawdzie nieregularne, ale przychodzą, jak w złotym wieku, bez zasiewu. Okręt jaki kupiecki wpływa z pomyślnym wiatrem do jednej z ich samotnych zatok, ujrzysz ich wszystkich, jak podwodne bydło, wyładowujących statek, przenoszących na plecach towary, po większej części przemycane, i udających się z niemi w kryjówki im tylko znane, gdzie czujne oko celnika dosięgać nie zwykło. W porze nieczynności, a ta jest najdłuższa, zamieniają się w rybaków; wypłynąwszy na morze nocą w wątłej swojej łódeczce wracają około południa i w sąsiedniem miasteczku zbywają zdobycz swojej awanturniczej wycieczki. Ale zima jest dla nich ulubioną porą, nie dla tego, że podówczas liczne statki przybijają do mniej bezpiecznych brzegów; nie że rybołostwo przynosi więcej, ale że zima, ze swojemi szalonemi zamieciami, swojemi rozhukanemi wiatrami i swojem pochmurnem niebem, jest porą niebezpieczeństw, klęsk i rozbiciów; rozbiciów, które są Opatrznością owych barbarzyńców, bluźniących Opatrzności.

Niech się tylko niebo zachmurzy, ujrzysz onych ludzi pleczystych, krępych, zsiadłych, z dzikiem spojrzeniem, czarnym i rozwianym włosem, w posępnej i żałobnej odzieży, uzbrojonych siekierą, albo żerdzią zakończoną hakiem, przemykających się jak grobowe cienie wzdłuż ruchomych wydmów i wartujących po całych dniach w pianie morskiej po kolana. Ukryci za jaką nagą i wilgotną skałą, albo w trzcinie, albo w jałowcowych zaroślach czyhają na łup, zapowiadany chciwości ich w gniewach Oceanu! Już ich kocie oko rozogniło się dziką radością; już te karaiby spostrzegły nieszczęsny statek, miotany spienioną falą; dreszcz niecierpliwości przebiega ich żyły, dla nich beczki z arakiem, dla nich szacowne paki, wypchane tłomoki, dla nich szkatuła podróżnych i żywność całoroczna majtków! Im obdzierać trupy i dobijać konających! Dla nich, dla nich tylko rozbicie ze wszystkiemi okropnościami swemi! Dla nich krwawe żniwo burzy, dziesięcina Oceanu! Okrutni i chciwi!...

Jednej takiej nocy burzliwej, w 1835 roku, stary Piotr rybak zbudził swoją nie mniej letnią Małgorzatę, acz ledwie co zasnęła nieboga, gwarząc o swoim synie, który tam gdzieś po morzach żegluje, a który z Gwadelupy pisał, że wkrótce przybędzie.

— Dalej, Małgorzato, spiesz się! Słyszałem wyraźnie dwa wystrzały w kierunku *Białej Skały* — będziemy mieli gratkę.

Stara tymczasem wstała, zawiesiła dwie latarnie na dwóch końcach kija, przytwierdzonego w krzyż do żerdzi, na ośm lub dziesięć stóp długiej; stary wziął siekierę z krótkim trzonkiem, postronek i żerdź opatrzoną żelaznym hakiem, zwaną pospolicie *gafą (gaffe)*, i wyszli milczkiem.

— A co? — słyszysz Małgorzato? — wystrzelili na trwogę.

A promień światła latarni padł na twarz starca i ukazał spojrzenie jego, ożywione kanibalską radością, i muszkuły wyprężone dziką nadzieją; a fala ryczała ciągle, a wicher dął z coraz większą wściekłością. W pośród tej wrzawy przyrodzenia przedzierały się pomieszane krzyki rozpaczy i żałosne jęki — i znowu dał się słyszeć jakiś łoskot, jak gdyby zwaliło się drzewo, rażone piorunem. Doświadczone ucho rybaka umiało rozeznawać te odgłosy.

— Nie będziemy czekali długo, podnieś latarnie w górę.

A stara podniosła swój krzyż oświecony, mający służyć za przewodnika biednym rozbitkom i wciągnąć ich w zasadzkę.

Niezmierny bałwan zatoczył się na wybrzeże, woda podeszła starcom po kolana, bałwan cofnął się, porzuciwszy na brzegu ciało majtka. Regularny łoskot wioseł dał się słyszeć blisko wybrzeża.

— Ho! ho! Dajgo katu! Zdaje się, że okręt dał nurka; ale zjedzą djabła, czy się przemkną po za *Białą Skałę*.

Wyrzekłszy te kilka słów sam do siebie, Piotr z wymierzoną siekierą nachylił się do trupa. Przenikliwy krzyk rozpaczy dochodził z morza. Piotr obmacał trupa.

— Ten, nie żyje!

— Ratujcie! Ratujcie!

A po tym krzyku rozpaczy, znowu grobowe milczenie. Szalupa zatonęła, morze pochłonęło swoją zdobycz, a paki, skrzynie, beczki, deski i drzażgi masztów zarzuciły wybrzeże.

Stara spuściła ku ziemi swój morderczy fanał i co ma siły pomaga mężowi zabezpieczyć od nowej fali szczątki rozbicia. Ale jakiżto znowu krzyk, pomieszany z groźbą i klątwą? — Krzyk stłumiony, ostatnie wysilenie piersi, zalanej falą.

— Ratujcie! — Ratujcie! — Tonę!

I może o cztery sążni od brzegu ukazały się głowa i dwie ręce nad wodą.

Piotr słyszy tonącego krzyki, nadbiega uzbrojony *gafą*. Zapewne poda nieszczęsnemu tę żerdź ocalenia... ale nie, podniósł całą siłą żerdź okutą żelazem i z taką gwałtownością zwalił ją na topielca, że hak uwiązł między łopatkami... Ostatni krzyk skonania zmieszał się z rykiem burzy... Zbrodnia dokonana! Morderca przyciąga do siebie trupa; a Małgorzata — rzecz okropna i hydna! — dobija go siekierą. Jeszcze ciało nie skrzepło, oni przewracają je na wszystkie strony. Małgorzata bierze latarnię, nachyla się nad trupem... ale zaledwie światło padło na lice ofiary, przeraźliwy krzyk rozległ się w powietrzu, latarnia wypadła z ręki Małgorzaty... Nieszczęśliwa pada bez życia, przy trupie syna.

Pogrzebano ich nazajutrz, jedno obok drugiego; Piotr przejęczał jeszcze dwa lata zatrute zgryzotą. Nakoniec Bóg zlitował się nad synobójcą! Pewnego wieczora, znaleziono starego rybaka bez życia, na wybrzeżu morskiem, naprzeciw *Białej Skały*.

KSAWERY GODEBSKI.

RÓŻNOŚCI

OFIAROWANE DOŚWIADCZONEMU PRZYJACIELOWI

JÓZEFOWI IGNACEMU K............

PRZEZ

TEOFILA LENARTOWICZA.

CZCIGODNY PRZYJACIELU.

Owo Ci przynoszę nowy upominek od serca, wiązkę rymów składanych, jakby to jakiś łacinnik powiedział: w przypominiu szczęśliwego Argos. — Pieśni te, niby echa nadbużańskich lasów, nie dziw się, że mają charakter żeński, taki bowiem jest ogólny charakter spiewów tych okolic, mąż mało tam zdaje się przywiązywać wagi do piosenki i zostawia ją niewieście; to też ile razy chcesz opiewać przedmiot bojowy, do rytmu Krakowiaka musisz się uciekać, Mazur bowiem nie ma na nią formy odpowiedniej; na krótki ucinek się zdobędzie, ale nie na więcej — Krakowiak to i Rusin dostarczą ci wojennego rytmu. Pokutuje u nas w Polsce do dziś dnia błędne wyobrażenie o szkołach poetycznych, o prowincyonalizmie pieśni; kto z Krakowa, temu już nie godzi się liry mazowieckiej potrącać; a kto Mazur, temu chroń Boże Krakowiaka roznosić, jakbyśmy pomimo odcieni językowych nie byli jednym narodem. Kiedyś wielki poeta władający genialnie wszystkiemi narzeczami, kłamstwo zada tym dzisiejszym sądom, na co niewątpliwie zgodzisz się ze mną mój czcigodny przyjacielu, a nawet pozwolisz, że nieśmiało i niepewno, jak to przy każdych początkach bywa, a mianowicie jak się to działo w starem malarstwie, po tej się drodze w robotach moich obracać będę, i nie zamkniesz mnie w błogosławionem kółku, ale i w świat bojów i w świat, na który ciężko patrzeć, ale który przejrzeć jest zasługą, wolność wędrówki mi zostawisz.

Naród nasz to jedna lira, a jego narzecza i pieśni w tych narzeczach, to rozmaite jej struny; ta ponura stepowa, ta wesoła krakowska, ta wysoka mazowiecka, ta litewska, co się do rusińskiej przybliżyła, a ktoby chciał grać na jednej tylko, temu dusza całego kraju nie odpowie.

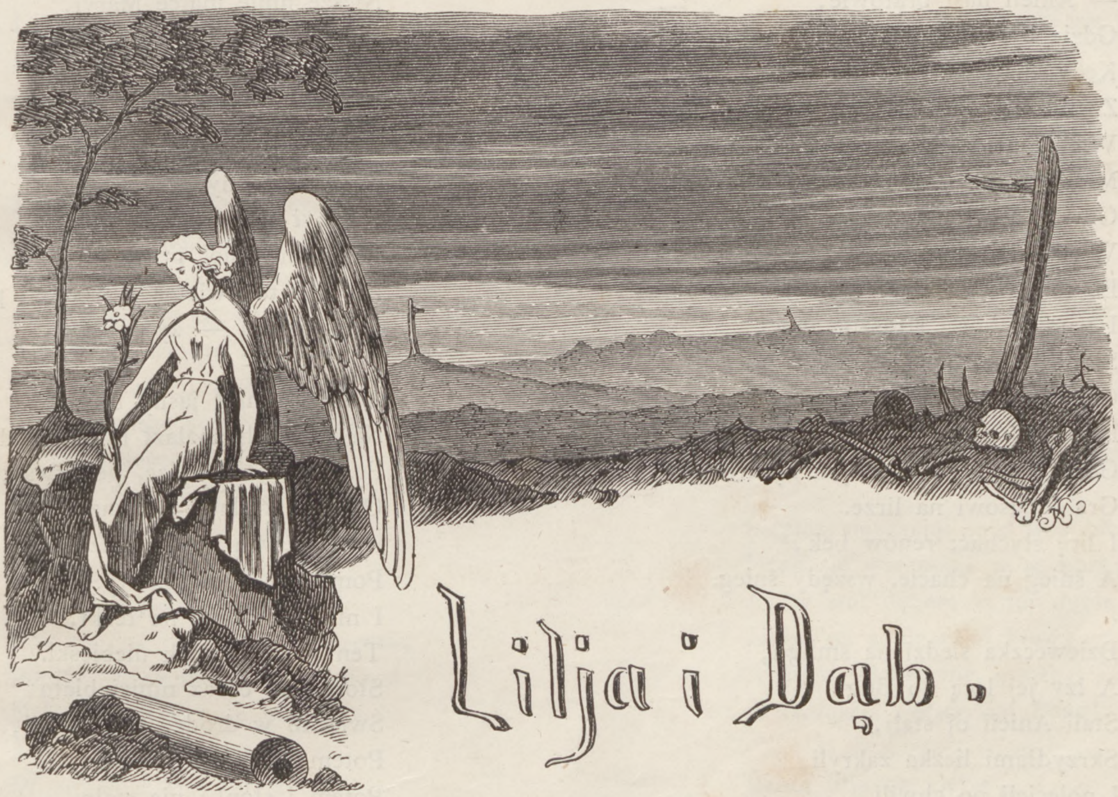
Dotychczasowe pieśni moje gminne zyskały tu i ówdzie życzliwe przyjęcie, odbierałem listy od kmieci z Polski nadwiślańskiej, a jeden z dowódzców ostatniego powstania, także chłopek, do łez poruszającą kartę o losie mych piosenek na Mazowszu pomiędzy siermiężną bracią mi napisał. Powinienbym więc być zadowolony, a przecież tak nie jest; są sfery ducha ludowego, do których rzadko kiedy myślą udaje mi się przybliżać, a które nigdy jeszcze nie wyszły na papier, wyjawiać je zaś nie w pieśni, jest to to samo, co własną swoją ukochaną rozbijać lirę.

Na wszystkich strunach biorę głosy jak widzisz, chociaż odnośnie do pojęcia, jakie mam o pieśni gminnej, jest to dopiero strojeniem struny, a nie muzyką jeszcze.

Ale ja rozgadałem się o rzeczach poważnych, jakbym Ci co poważnego przynosił, nie myślże o niczem podobnem, przeglądając tę rymów wiązankę — owo niezapominka, dziewanna co na wydmach przydrożnych rośnie, biała lilijka nadbużańska, mak na sen dla dzieci, wreszcie rozchodniki mogilne, pomiędzy które dla rozmaitości gałązkę chmielu weselnego zaplotłem.

W kalecie mojej wiele jeszcze pieśni odpoczywa, wysypię je kiedyś przed Tobą, a Ty je przyjmiesz bez uwagi na wartość z zawsze równą dobrocią.

Florencya 20. Maja 1868.



Lilja i Dąb.

Albo graj,
Albo skrzypkę zdaj,
Albo za taniec zapłać...

I.

Szczęsna Marysia u boga!
Stały anioły u proga,
Prosiły panien prosiły,
Żeby im wianek uwiły.
Jeden się skłonił do nóżek,
I prosi kwiatów dla drużek.
Schylił się drugi z skrzydłami,
Dla Marysieńki dla samej.
Stoi Marysia na smugu,
Panny ją wiodą do ślubu;
Nasza Marysia od Bugu,
Nosi trzewiczki od łubu.
— Panienki jasne stokrocie,
Zróbcież wianeczek sierocie.

— Anieli nasi bratowie,
Jedna panienka odpowie,
A z czegóż będziem wianek wić?
— Złote listeczki, srebrna nić.
Druga panienka odpowie:
— Anieli nasi bratowie,
Na cóż się przyda złoty liść,
Kiedy do ślubu nie ma iść.
Inna rzecz dla niej sądzona,
Inna sierocie korona...
I wzięły smucić się wzięły,
Aż im łzy święte płynęły,
Oj popłynęły od smutku,
Jak po rozsadach w ogródku.

Stali anieli zdziwieni,
Jako jabłuszka czerwieni.
Skrzydełka u nich z pawich piór,
A włosy długie — złoty sznur.
Wesele idzie od liczek,
Od srebra, złota trzewiczek.
— Panienki święte stokrocie,
Cóż zaniesiemy sierocie?...
A jedna panna odpowie:
— Anieli nasi bratowie,
Gdzie był kościołek z modrzewi,
Kędy chateńka nikt nie wie.
Został się tylko czysty smug,
Wielka niedola żywy Bóg!
Młody w moskiewskim Sybirze
Gra Jezusowi na lirze.
Wielki tam smutek, wielki ból,
Bo tam na polu jeno sól *)
I trupich kości straszna moc,
Słoneczka niema — zawdy noc.
Czasami jeno przed chatę,
Przychodzą reny rogate,
Gdzie młody w głuchym Sybirze,
Gra Jezusowi na lirze.
I lirę słychać, renów bek,
A śnieg na chacie, wszędy śnieg.

Dzieweczka siedzi na smugu,
A łzy jej lecą do Bugu.
Stali Anieli oj stali,
Skrzydłami liczka zakryli,
I polecieli po chwili,
Lecieli bliżej i dalej.

I znalazł jeden panny ślad,
Tam na popiołach naszych chat;
Poznał po stopie po małej,
Że je sieroty deptały.
I szedł po śladach długo szedł,
Jak długa Polska het tam het.
A co krok uszedł po polu,
Zapłakał sobie od bolu;
I mierzył drogę na łezki,
Ten złoty ptaszek niebieski.

I szedł od nocy do ranku,
Od gruzów sioła do sioła,
Aż ci na jednem polanku
Widzi zmarłego anioła.
Prędko pochylił się złoty,
Co stał na polu jak słupek:
Nie był to anielski trupek,
Jeno Marysi sieroty;
Chociaż się świecił jak słonko,
Pod świętych panien koronką.

Położył trupka na dłoni,
I począł patrzeć się po niej.
A gdy się patrzy litośnie,
Lilijka w dłoni mu rośnie.
I głos wychodzi z lilii:
Nieśże mnie matce Maryi,
Połóż u złotych trzewiczek,
Niech się napatrzę jej liczek.

Na chmurki białej na rąbek
Leci bieluchny gołąbek,
Nie był to gołąb srebrzysty,
Jeno sam anioł przeczysty;
Nie był to kwiatek z naszych pól,
Jeno sierota — żywy ból.

A drugi anioł jasny brat,
Na śniegach znalazł ludzki ślad.
Po strasznej drodze, po krwawej,
Odgarniał ślady rączkami,
Aż tu krwią polską i łzami
Pomaczał złote rękawy.
I mierzył drogę na łezki,
Ten złoty ptaszek niebieski.
Słoneczko coraz mniej biało
Świeciło w drodze tej ptaszéj,
Potem bledniało, konało,
Potem i słonka nie stało,
A wciąż szły ślady krwi naszej.

I stanął w głuchym Sybirze,
Spojrzał po świecie nikczemnym,
Aż ktoś pod niebem pod ciemném,
Gra Jezusowi na lirze.
A przed nim renów dwa rzędy,
Słucha niebieskiej kolędy.
Lirenka grała a grała,
Jak gdyby dusza spiewała.
I anioł począł tak szlochać,
Począł się w płaczu zanosić,
Że można w nędzy tak kochać,
Że można w nędzy tak prosić.
I przed Polakiem cierpiącym,
Upadł bieluchnym miesiącem.

Potem go w skrzydła obwinął,
Jako dzieciątko pieluchą,
I ni to szedł z nim ni płynął,

Przez całą Syberyę głuchą.
Potem dwa skrzydła otworzył,
Rączką go potarł po skroniach,
I w wolnej Polsce na błoniach,
Jednego ranka położył.

I rzekł mu taki łaskawy
Nad rolę wybiegłszy kmiecą;
Strumień przetoczył się łzawy,
I dymem chmury nie lecą.
Lecz jednej wieści nie schował,
I rzekł z oczami cudnemi:
— Będzieszże Bogu żałował
Jednego kwiatka na ziemi?
— Zaś bym żałował, niech bierze,
Jeno mi serca niech strzeże.
— Nie bój się, smutki gdy wioną,
Ja twoim oczom odsłonię
Szumiące lasy tą stroną,
Tą stroną wioskę i błonie.
I na podwórku twem stanę
W najcichsze świty rumiane. —
A kiedy serce ukoił
Jakoby ciszą kołyski,
Cały świat cudnie przystroił,
Wioskę i kościoł poblizki.
I wziął człowieka za rękę,
I w ciemne powiódł go drzewa,
Patrzy — aż matka tam spiewa
Najświętszej Pannie podziękę.
A nad nią jego sierota
W sukience stoi od złota,
A tak się bogu weselą,
Jak dziatki świętą niedzielą.

I człowiek zgjąwszy kolana,
Żałości pozbył ostatka,
Chociaż nie była to matka,
Lecz była Polska kochana.

. . . .

Spojrzy aż dąb się zieleni,
A pod nim dziatek tak wiele,
A wszystkie cieszą się w cieni,
Którą do koła dąb ściele.
I zdziwion człowiek ubogi
Na dziatki wejrzy się owe,
Na swoje spojrzy się nogi,
A to korzenie dębowe.
Na swoje spojrzy się bary,
A to dębowe konary.
Więc się aniołu poleca;
A tu świat cudny, wesoły,
Świeżo zorana ról kmieca,
I przed nim jego dwa woły.
A za nim bracia od orki,
A za nim bracia od radła;
Nędza zginęła, przepadła,
Znowu weselą się dworki —
I kowal kosę mu stali,
O kilka kroków nie dalej.
Słucha — aż głosik daleki
Spiewa z za łąki, z za rzeki,
Co mu tak serce spokoi
Że aż zawołał: Hej moi!
I począł płakać jak dziécię;
Bo biedny człeku łzami znacz
I twoje nędze na świecie,
I twoje szczęście — wszystko płacz.
Aż tu od polskich słyszy strzech
Wrogi przeklęte — Polsce śmiech.

I człek się zaciął sam w sobie,
I tak się wzmocnił w tę porę,
Jakby stał dębem w tej dobie,
Jakby na sobie miał korę;
A dębu wicher nie zmoże,
A szczęścia Polsce daj Boże!

Rosła lilja na glebie,
Zielony dąbek w gaju;
Wziął lilję Bóg dla siebie,
Zostawił dąb dla kraju.
Święć się lilijko biała,
Dębie rozrzucaj cienie;
Tobie będzie przejrzenie,
Za wszystko Jemu chwała!

---

*) Kiedy u nas mówią o zniszczeniu zupełnem, wyrażają się: spalić, zaorać i solą posiać, żeby się nic nie obrodziło; spalić i zaorać należy do czasów zajazdów szlacheckich, ale solą posiać, żeby się nic nie obrodziło, to już przypomnienie owych nieurodzajnych stepów sybirskich, przez jeografów opisywanych, na których znajdują wielką ilość soli jak śnieg się połyskującej; do tych strasznych moskiewskich pustkowi należy także step zwany Barabasza.

KOŚCIÓŁ Św. JANA CHRZCICIELA WE LWOWIE.

Stare gmachy, pomniki, bywają często, jak starzy ludzie, w poszanowaniu i czci wprawdzie przy zdarzonej sposobności; gdy się obchodzi rocznica jakiejś ważnej chwili, w której oni właśnie udział brali — w dnie świąteczne, niedzielne; ale zresztą idą w zapomnienie i w codziennem życiu zwraca się uwaga i pamięć ludzka bar- jego oknom i dodają szarzyzny jego ścianom szarym od wieku. Położony w dzielnicy najplugawszej, najkrzykliwszej i — od czasu jak Lwów stoi — zawsze najmniej chrześciańskiej, zapomniany, patrzył on na narodziny Lwowa, a wszystkie kościoły lwowskie, metropolie, archikatedry i wspaniałe fary są to jakoby wnuki i prawnuki



FOTOGRAFOWAŁ JÓZEF EDER WE LWOWIE.

dziej ku tym, co się nasuwają okazałą a często natrętną powierzchownością.

Uwaga ta przyszła mi na myśl gdym oglądał kościołek św. Jana Chrzciciela na krakowskiem. Skromny to i niepokaźny staruszek, stoi przy najbardziej uczęszczanym gościńcu, z którego kurzawy tumany lecą ku małym jego, które przyćmiły okazałością swego dziadka i pradziadka, cóż dopiero powiedzieć o tej sąsiadce jego najmłodszej wiekiem a przeznaczonej na świątynię dla najstarszej dziś na świecie religii — o synagodze, (czyli mówiąc językiem ludu) bożnicy żydowskiej.

W takiem towarzystwie nie spodziewali się zapewne widzieć po wiekach założyciele tego kościołka.

A któżto byli ci założyciele?

Jeżeli zapytasz dziada kościelnego o to, odpowie ci po niejakim namyśle, pokrywając niewiadomość powagą swojego urzędu, jak ów dziad, którego w Dziadach przytacza Mickiewicz:

— Na co ta ciekawość?

Jednakże podanie krążące między ludem jest bardziej uprzejme i zaspokaja tę ciekawość, aczkolwiek bardzo niedokładnie. Twierdzi podanie, że kościół ten został założony na kilkadziesiąt lat przed założeniem Lwowa, a zatem w pierwszej połowie XIII. wieku.

Trudno wszelako wymagać dokładności po ludowem podaniu, skoro źródła wiadomości historycznej, jako to akta archiwalne, kroniki albo napisy w samymże kościele, także są niedokładne i sprzeczne między sobą.

Zaczniemy od najmniej pewnego, a tym jest napis w kościele samym, który opiewa: „*Dominus visitavit et erexit anno 1270.*“ (Pan zwiedzał i wzniósł r. 1270). Erekcya a założenie i wybudowanie to są różne rzeczy. Nie możemy tego uważać jako świadectwo założenia kościoła.

O samem założeniu nadmieniają akta kapituły rzymsko-katolickiej lwowskiej, jakoby kościół ten miał być założony w r. *1250* przez pustelników św. Bazylego. Nazwany on jest w tym akcie „*templum vetustissimum.*“

Byłoby to założenie równoczesne z założeniem samego Lwowa, którego pierwotnym założycielem był według *Ipatiewskiej kroniki* Daniel Romanowicz około r. 1250—1252. Ponieważ gród, czyli zamek właściwie, był założony na tak zwanej Lwiej górze, kościół zaś położony pod tą górą, więc podanie, jakoby on był kościołem zamkowym, zyskuje wiele na prawdopodobieństwie. Tę okoliczność popiera także podanie, jakoby kościoł ten był założony około roku 1250, t. j. w tym samym czasie, kiedy gród założony. Aliści nie jest to niczem więcej jak tylko podaniem, i chociaż ono jest zapisane w aktach kapitulnych, niestaje się przeto wiarogodniejszém od wszelkich innych podań.

Nie udało się dotychczas odszukać dokumentu fundacyjnego albo erekcyjnego, któryby się odnosił do tego kościoła. Rzecz ta jednak o założeniu kościoła około r. 1250 z powodu utworzenia na lwiej górze osady traci na wiarogodności, gdyż o Lwowie pewne wiadomości zaczynają się dopiero z r. 1259. *Ipatjewska kronika* pisze pod tym rokiem (1259) o pożarze Chełma: „*jakože i so Lwowa zriaszcze widiti po polem bielskim od gorienija silnego płameni.*“ Słuszny był wniosek uczonego Wagilewicza, że nie mógł Lwów leżeć w innem miejscu w owych czasach, jak tylko tam, gdzie dzisiaj leży wieś Zniesienie. Wniosek ten zgadza się oraz z podaniem, ze skazówkami kronikarskiemi i z całym rozkładem ówczesnym miejscowości. Położenie bowiem zamku na lwiej górze, a kościoła zaraz pod nią od strony północnej wskazuje najoczywiściej, że po tej stronie północnej musiały się mieścić najpierwsze osady, z których powstało miasto Lwów. Wagilewicz twierdzi, że nazwa Zniesienia pochodzi od cerkwi pod wezwaniem Wniebowstąpienia pańskiego (w cerkiewnym języku *Woznesenie)*, i wywodzi dalej, że dzisiejsza wieś Zniesienie była kiedyś jedną z parochij lwowskich. Namby się zdawał najtrafniejszym wniosek, że nazwa Lwowa przysługiwała pierwotnie zamkowi położonemu na lwiej górze. Z czasem może nawet sama osada Zniesienia rozszerzyła się ku zamkowi, szukając ochrony pod jego twierdzami, i to dało początek miastu Lwowu. Naprowadza nas na ten wniosek głównie kościół św. Jana. Jest on na wszelki wypadek dawniejszym niż samo miasto Lwów; był więc oczywiście postawiony jako jedna z tych strażnic kościelnych, z których się rozchodziły promienie światła religijnego na coraz dalsze obszary.

Chrześciaństwo było wprawdzie w tych okolicach już zaszczepione od X. wieku przez Włodzimierza Wielkiego, i Ruś należała nawet w XIII. wieku do krajów kwitnących pod względem religijnym; ale toczyła się tutaj walka między kościołem rzymskim a wschodnim, obydwa kościoły stawiały na kresach swojej dziedziny strażnice i obsadzały je duchownymi obrońcami swojej wiary.

Dwa zakony dostarczały tym kościołom obrońców duchownych; rzymski kościół znajdował ich w zakonie św. Dominika, wschodni zaś w jedynym zakonie jaki posiada, t. j. św. Bazylego. Tak jeden zakon jak drugi miał swoich orędowników między najzamożniejszemi rodzinami kraju. W naszej krainie łączy się pierwsze zaprowadzenie zakonu św. Dominika z imieniem rodziny Odrowążów. Zakon św. Bazylego znajdował między rodzinami panujących na Rusi kniaziów założycieli swoich monasterów. Tak kościół św. Jurski we Lwowie, monaster w Ławrowie, zawdzięczają pierwszy swój początek kniaziom ruskim, którzy sami jako mnichy albo odpokutowywali grzechy burzliwego żywota swego, jak Lew Daniłowicz (którego mylnie mają za założyciela Lwowa), i Wojsiełk (którego Lew haniebnie i zdradliwie zabił), albo też poświęcili cały swój żywot bogobojnej pracy zakonnej, jak Ławr Trojdynowicz (pierwotnie Rymond) założyciel Ławrowa.

Co do kościoła św. Jana chwieje się tradycya między obydwoma temi zakonami, które szerząc chrześciaństwo w tych ziemiach jeszcze zawsze na pół pogańskich, były oraz przednią strażą w walce kościoła wschodniego z rzymskim.

Jedni twierdzą, jakeśmy to już wspomnieli, jakoby kościół ten był założony przez pustelników św. Bazylego, jakoby im został odebrany przez zakonników św. Dominika, poźniej napowrót oddany, a nareszcie ostatecznie odebrany i przyłączony do dziekanii kapituły lwowskiej.

Bądź co bądź, tyle pewnego można z tych sprzecznych wieści wynioskować, że kościół ten był w odległej

starożytności na przemian to w posiadaniu Dominikanów to Bazyljanów.

Zdawało nam się zawsze niepodobną rzeczą, ażeby przy dokładnych i mozolnych poszukiwaniach niemiało się udać wyszukanie początków takiego cennego zabytku dziejowego. Jednak źródła, gdzieby tych początków szukać, są albo nieprzystępne zupełnie, albo jest przystęp do nich wielce utrudniony. Zapewniano nas, ze w archiwum kapituły tutejszej niemasz wiadomości o tym kościele prócz powtórzenia tradycyi, o którejśmy wspomnieli. Ale w archiwach zakonu dominikańskiego, zarówno jak bazyljańskiego, powinnyby się znaleść ślady. W najlepszym razie wszakże jest poszukiwanie takie, nawet dla tego, który ma zupełnie swobodny przystęp, połączone z tak wielką utratą czasu, że przy naszych dzisiejszych stosunkach, które oddającemu się specyalnej pracy uczonej nie nastręczają sposobów do życia, musi wszelkie badanie szczegółowe chromać.

Otóż obok wyżej przytoczonych wskazówek i podań mamy jedną wielce ważną, odszukaną przez Maciejowskiego w aktach kapituły lwowskiej, z których wypisał wiadomość zapisaną pod r. 1234 (a zatem na 20 lat przed założeniem Lwowa), że kościół ten w onym roku już istniał i że nim zarządzali pierwotnie (*primitus*) OO. Dominikanie Missjonarze.

Podanie to zgadza się zupełnie z innemi szczegółami dziejowemi, według których św. Jacek Odrowąż przyniósł rzeźbiony obraz Bogarodzicy z Jasnejgóry do Lwowa i założył tu misyę Dominikanów. Wiadomość podana przez Maciejowskiego twierdzi, jakoby z „archiwum dominikańskiego się okazywało“ (*patet ex archivo illorum*), że oni posiadali pierwotnie kościół pod wezwaniem św. Jana.

Ruscy pisarze radzi wystawiają tę rzecz tak, jakoby Dominikanie posiadali osobną tutaj kaplicę, a kościół wspomniany należał do Bazyljanów. Z wszelkiego badania okazuje się jednak, że kościółek św. Jana, kaplica zamkowa i missjonarska osada Dominikanów jest jedno i to samo.

Jak to się tłumaczy w szyzmatyckiej podówczas Rusi?

Oto tym bardzo prostym sposobem, że, jak wiadomo cokolwiek obeznanemu z dziejami Rusi, panował wówczas na Haliczu Daniel Romanowicz, który wielce się zalecał do Rzymu chcąc pozyskać poparcie u Papieża, aby nakazał wyprawę krzyżacką przeciwko Tatarom, a oraz aby go koronował na króla Rusi. Papież uczynił i jedno i drugie. Daniel tedy dał zapewne opiekę Dominikanom, wygnanym w r. 1233 z Kijowa, i pozwolił im osiedlić się jako missjonarzom w tej okolicy, gdzie oprócz zamku książęcego warownego (drewnianego jak niesie podanie) i szczupłej pod górą zamkową, a właściwie lwią zwaną, osady nazwanej od cerkwi wozneseńskiej *Woznesenjem* (Zniesieniem), nareszcie pustelników św. Bazylego z kapelanją św. Jura na drugiej górze, nie było jeszcze żadnej osady. Z tego wszakże słusznie wnioskować należy, że trzy te czynniki: zamek książęcy na lwiej górze, kościół św. Jana założony przez albo dla Dominikanów, i cerkiew św. Jura były owemi pierwiastkami, z których powstał Lwów. Ale nie był to Lwów dzisiejszy. Leżał on tam, gdzie dzisiaj leży wieś Zniesienie, która, pomimo że Szajnocha bardzo pięknie wykazał, jakoby nazwa jej pochodziła od „zniesienia“ Tatarów za króla Jana, była Zniesieniem jeszcze nim Lwów powstał, jak dowodzi trafnie Wagilewicz.

Poźniej pokłócił się Daniel z Rzymem, a nawet słusznie, albowiem krucyata zapowiedziana nie przyszła do skutku, a koronacja na króla ruskiego była połączona z różnemi uroszczeniami do zwierzchnictwa Rzymu nad Rusią, podczas gdy bojarowie byli temu przeciwni; przez co też Daniel znajdował się w trudnem wielce położeniu, z którego nie mógł inaczej wybrnąć, jak tylko zrywając albo z otaczającymi go ciągle bojarami i innymi kniaziami, a narażając przez to swój tron na szwank, albo zrywając z dalekim Rzymem i papieżem, od którego zemsty był dosyć bezpiecznym. Skutkiem tego było tedy przedewszystkiem niezbyt uprzejme przyjęcie nuncjusza papieskiego, którego Ojciec św. przeznaczył na arcybiskupa halickiego, a który musiał wracać do swojego stolca biskupiego *in partibus*. Było to w roku 1279.

Wtedy to albo w parę lat poźniej, właśnie w porze pierwszego założenia Lwowa, zostali prawdopodobnie Dominikanie ztąd wygnani, jak ich o lat blisko 20 przedtem wypędzono z Kijowa. W tymże samym czasie w r. 1250 przeszedł kościół św. Jana w posiadanie Bazyljanów. Ponieważ tedy Bazyljanie byli w posiadaniu kościoła tego właśnie w czasie założenia Lwowa, więc opisujący dzieje Lwowa kronikarze podali, jakoby Bazyljanie byli pierwotnymi założycielami i właścicielami kościoła. O tém świadczy notata w aktach kapitulnych, która podaje, jakoby kościół ten w r. 1250 przez Bazyljanów założonym został.

Ks. Piraski w opisaniu dyecezyi lwowskiej, znajdującem się w rękopisie w archiwum kapituły lwowskiej (któreśmy przez grzeczność ks. kanonika Morawskiego oglądali), powtarza tylko za innymi: że Dominikanie odebrali kościół ten Bazylianom (pierwotnym jego posiadaczom). Snać nie wiedział on sam, że w archiwum kapituły znajdował się ślad, jako Dominikanie byli pierwszymi tego kościoła posiadaczami.

Byli więc Bazylianie w posiadaniu tego kościoła, kiedy Lwów został założony po pierwszy raz przez Daniela. Ten Lwów został wszelako w kilka lat po założeniu swojem, w r. 1261 zburzony. Przyłożył ręki do tego dzieła zniszczenia Lew Daniłowicz, właśnie ten, któremu zwykle przypisują mylnie założenie Lwowa. Stało się to na rozkaz Batuchana, w obecności lennika tatarskiego Burondaja, i było warunkiem zawartego między księciem halickim a

hanem tatarskim przymierza. Zburzenie Lwowa nie musiało być wszakże bardzo gruntowne, skoro ocalał wśród gruzów kościół św. Jana.

Dzisiejszy Lwów został założony, jak to Wagilewicz wyjaśnił według kroniki W. księstwa litewskiego, znajdującej się w rękopisie w bibliotece Raczyńskich, na początku wieku XIV., a zatem blizko w pół wieku po pierwszem zburzeniu tego miasta. Założycielem dzisiejszego Lwowa był Lew Mścisławicz, wnuk Daniela Romanowicza a synowiec Lwa Daniłowicza.

Wszystkie te przemiany losu miasta przetrwał kościół św. Jana. Jak przeszedł z rąk Bazyljanów znowu do Dominikanów, nie jest wiadomem. To wszakże jest rzeczą pewną, że kościół ten przetrwał nowe zniszczenie Lwowa w r. 1339 przy zajęciu go przez Kazimierza Wielkiego, i że pozostali przy nim Dominikanie aż do r. 1372. W tym roku odebrał kościół ten Władysław Opolczyk Dominikanom, a oddał go Bazylianom. Wiadomo jak król Ludwik usiłował zjednać sobie Rusinów, a Władysław Opolczyk jako jego namiestnik popierał tę politykę. Tem się tłómaczy odebranie Dominikanom kościoła, a oddanie go ruskim mnichom właśnie przez panującego nie Rusina. W owym czasie (r. 1371) zapisał kościołowi temu Jan, starosta ruski, wieś Hodowicę.

Gdy zaś w skutek bulli Grzegorza IX. z r. 1373 odbierano kościoły, będące niegdyś w posiadaniu kleru rzymsko-katolickiego z pod władzy greckich duchownych, przeszedł snać i ten kościół napowrót w posiadanie kleru rzymsko-katolickiego.

Odtąd zaczynają się, powiedzielibyśmy, pewne dzieje kościoła tego, bo cośmy dotychczas opisali, w tem tylko te okoliczności są pewne: że kościół św. Jana założony został pierwéj jeszcze, niż samo miasto Lwów, i że był na przemian w posiadaniu to Dominikanów to Bazylianów, nim został ostatecznie przyłączony do katedry lwowskiej jako dziekanja.

Nie wiemy zkąd Łobeski (w „Opisach obrazów znajdujących się w kościołach lwowskich") powziął wiadomość, że w tym kościele przechowywał się przez niejaki czas obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Jest jednak ta wiadomość wielce do prawdy podobną. Zimorowicz bowiem podaje wiadomość o tym obrazie podług rękopisu skoropisem słowiańskim pisanego, według którego obraz ten wprost od św. Łukasza Ewang. pochodzić ma, i po zburzeniu Jerozolimy dostał się do rąk wschodnio-rzymskich czyli greckich cesarzów, a od tych do książąt ruskich. Książęta ruscy przechowywali go przez trzysta lat w swoim skarbcu, aż dopóki go Lew Daniłowicz książę halicki niepozwolił wystawić na widok publiczny na usilne naleganie Bazyljanów, później zaś powierzył go tymże Bazylianom do przechowania. Ponieważ tedy Bazylianie byli w posiadaniu kościoła św. Jana w owym czasie, więc zapewne obraz Bogarodzicy w tymże kościele umieścili. Dopiero w r. 1382 miał obraz ten Władysław Opolczyk Bazylianom odebrać i przenieść do Częstochowy. Rękopis, na który się Zimorowicz powołuje, nie bardzo jest wiary godzien, zwłaszcza że nie wyjaśnia on dokładnie, jakim sposobem przyszedł Lew książę halicki do posiadania obrazu, który znajdować się miał pierwotnie w skarbcu kijowskim. Rękopis znajdujący się w ręku Bazyljanów był znać tendencyjnie napisany, aby wykazać, jakoby Władysław Opolczyk nieprawnie przeniósł obraz Bogarodzicy do Częstochowy, gdy tymczasem jest rzeczą więcej niż wątpliwą, żeby uczynił coś podobnego ten książę, który protegował Rusinów tak dalece, że własnie kościół, o którym piszemy, odebrał zakonowi rzymsko-katolickiemu a oddał Bazyljanom.

Odkąd kościół przeszedł w posiadanie dziekanii przy kapitule lwowskiej, są jego dzieje bardzo jednostajne. Był on snać obficie uposażony, bo oprócz wsi Hodowicy należały do niego znaczne grunta, o które wszelako ważne toczyły się spory. Mianowicie znajdujemy w aktach miejskich z pierwszej połowy XVII. wieku (1624 i 1630) ślady sporów to między kapitułą a miastem, to znowu o juryzdykcyę nad dziekanią.

W r. 1624 zanieśli skargę do króla burmistrz, rajcy, wójt i ławnicy imieniem całej gminy miejskiej lwowskiej przeciwko lwowskiej kapitule, jakoby ta nieprawnie zajęła grunta przy kościele św. Jana położone.

W r. 1630 wniosła kapituła lwowska znowu zażalenie przed tron Zygmunta III. przeciw komisarzom królewskim, ks. Mikołajowi Krosnowskiemu, proboszczowi bielskiemu, Marcinowi Laskowskiemu, instygatorowi królewskiemu, i Jakubowi Maksymiljanowi Fredrze, o to że ci komisarze będąc zesłanymi w celu rozpatrzenia sporów między miastem a starostą lwowskim Stanisławem Bonifacem Mniszchem, poddali dziekanię św.-jańską pod juryzdykcję miasta. Nie można dójść końca tych sporów, gdyż zapewne główne akta ich dotyczące musiały się znajdować w aktach koronnych.

Oprócz wielkiej starożytności swojej nie jest kościół ten w dziejach miasta Lwowa niczem odznaczony.

Budowa jego, jakkolwiek niepochodzi z wieku, kiedy był założony, jest wszelako bardzo dawna i przypomina tak pod względem szczupłości swojej jak prostoty stylu owe modrzewiowe stare kościoły, które jeszcze przed tem powstawały, nim gotycka architektura u nas zagościła.

Obrazy świętych, znajdujące się w kościele, są niektóre, szczególnie zaś św. Jana Chrzciciela w głównym ołtarzu, bardzo dawne.

Portrety nagrobne są mocno poniszczone i pochodzą wszystkie (jest ich trzy) z XVII. wieku. Dwa z tych portretów przedstawiają duchownych (Melchiora Oszkowskiego proboszcza i oficjała, i Grochowskiego).

Najciekawszy z tych i jedyny osobę świecką przedstawiający, jest portret młodzieńca Jana Zabłockiego, o którym napis świadczy, że umarł w 18. roku życia w r. 1673. Dlaczego portret tego młodzieńca, nieodznaczonego niczem w dziejach miasta, ani nawet z rodziny nieodznaczonej tu umieszczono? trudno dojść. Naprowadza to na różne domysły, tem bardziej, że w napisie znajdują się wyrazy: *De possesione Zboroviana xenodochii militaris S. Martini.* Łączy się z tem podanie jakieś bardzo niedokładne o gwałtownej i niewinnej śmierci młodzieńca, ale teraz już zatarte są prawie wszystkie ślady rzeczywistej prawdy.

Karol Widmann.

DWA WIERSZE ALBUMOWE.

I.

Do Teodory, Siostry Ludwika Narbutta,

Wyjeżdżającej z domu autora na tułactwo.

Sierocie, co idzie w świat
Na biedne życie tułacze,
Rzucam pod nogi nie kwiat,
Pod jej nogi nieboracze —
Ni pieśni rozścielam rzewne,
Te pasma gwiaździstomleczne —
Lecz pod jej stopki niepewne
Kładę poważnej nauki
Słowa twarde i bezpieczne —
Jak bruki!

Niech więc trwam w Twojej pamięci,
Nie ten, co często się smęci,
A potem płomieniem ducha
Jak wulkan nagle wybucha —
Lecz ten, co wzruszeniem blady
Dawał ci braterskie rady,
A dzisiaj w chwili rozstania
Podniesione oczy łzawi,
I Ciebie dziecię wygnania
Cicho błogosławi.

Lwów 11. listopada 1866 r.

II.

Do Panny W. M.

Ledwiem Cię ujrzał, pojąłem Twą duszę,
Jej ból zrozumiał;
Znam wszystkie dźwięki — na wszystkie katusze,
Bom cierpieć umiał.

Wiem jak jest wstrętnym, kto o ranę trąca
Zwykłym sposobem —

Tyś wzniosła duchem, sercem bolejąca,
Związana z grobem!

Jedną mam radę: Kochaj bez miłości *)
Co bądź na świecie—
Grób, Tobie drogi, jest bramą wieczności,
Tam się znajdziecie.

Lwów 1868 r.

Kornel Ujejski.

*) Wyrażenie, zamiast: staraj się coś polubić—zająć się czemś. (P. a.)

ZAMEK NA SPIŻU.

PODANIE LUDOWE.

Turysta polski, chciwy potężnych wrażeń, jakich się w życiu człowieka nieczęsto doznaje, nie minął zapewne rodzimych Tatrów, tej imponującej grupy olbrzymów, pełnej niewidzianych cudów przyrody, gdzie oko podziwem płonie, serce drzy nieokreślonem uczuciem dumy i cześci, a skroń korzy się mimowolnie przed niebotycznych głazów majestatem.

Kto raz w życiu cuda te zobaczył, kto raz pierś nasycił czystem tem powietrzem, ten o nich nigdy zapomnieć nie jest w stanie, i przez całe życie powracać będzie niezatartem wspomnieniem do ich wzniosłego obrazu.

Gdy staniesz u szczytu którego z tych olbrzymów i rzucisz okiem ku południowi, zatrzyma się wzrok twój na silnie górzystej okolicy, zielonej obszernemi lasami, przerywanej tu i ówdzie paskami małych równinek, na których przy uprawnych rolach ścielą się kwieciste łąki. Bystrym Popradem od dawnego województwa krakowskiego oddzielona, oparta od północy o Tatry, klinem w węgierską wsunąwszy się krainę, rozsiadła się tu od wieków Ziemia Spizka, jeden z najcenniejszych klejnotów św. Szczepana.

Piękna ta ziemia, niemal 66 mil kwadratowych obejmująca, związana jest swemi losami z historyą naszego narodu. Nazwisko jej czysto-słowiańskie, nazwy miejsc i rzek dowodzą, iż od najdawniejszych czasów była ona w posiadaniu Polaków. Jakoż w istocie wykazują starożytne kroniki, iż Bolesław Krzywousty dał ją w posagu dożywotnim swej córce Judycie, małżonce królewicza węgierskiego, syna Kolomana. Po śmierci Szczepana przejść miał Spiż napowrót na własność polskiej korony. Układ ten nie został jednak wykonany. Węgry zatrzymały Spiż pod swem panowaniem bezprawnie, korzystając z osłabienia Polski. Gdy r. 1412 cesarz niemiecki Zygmunt przyciśniony nagłą potrzebą zmuszony był pożyczyć od naszego Jagiełły 37.000 kóp groszy pragskich, znać, że wielki neofita litewski nie bardzo ufał słowu Jego arcy-chrześcijańskiej Mości, gdy tenże w zastaw oddać musiał królowi ziemię spizką, która słusznością a prawdą oddawna mu się bez owej pożyczki należała. Paweł Gładysz pełnomocnik królewski objął ją w imieniu Jagiełły w posiadanie. Ale zaledwie wielki król oczy przymknął na wieki, już cesarz pokusił się o odebranie tej krainy bez powrotu pożyczonych pieniędzy, lecz usiłowania jego były daremne. Niewykupiony pozostał Spiż przy Koronie, ciesząc się osobnem prawem i pięknemi przywilejami. Poźniej otrzymał go Jan Jordan z Zakliczyna w zastaw za pożyczone skarbowi 12.000 czerwonych złotych, aż go król Zygmunt I w r. 1506 wykupiwszy, w starostwo zamienił. Bogate to starostwo przez możne i znakomite przechodziło ręce. Z razu rodzina Lubomirskich miała je w swojem posiadaniu; poczem król August III nadał je żonie swej Maryi Józefinie; poźniej r. 1757 minister saski Henryk hr. Brühl, generał artyleryi koronnej, objąwszy spizkie starostwo, ustąpił takowego wreszcie 1764 roku Kazimierzowi ks. Poniatowskiemu, podkomorzemu koronnemu, który był ostatnim starostą na Spiżu.

Spiż dostawszy się roku 1772 pod berło austryackie, przydzielony został do Węgier i odtąd utracił zupełnie historyczne swoje znaczenie.

Ziemia ta liczy do 60.000 mieszkańców, a już w roku 1664 posiadała ona wzwyż szesnaście miasteczek, z których najważniejsze Lubowla, było stolicą starostwa.

. . . .

Nad brzegiem wijącego się wężem Popradu, u szczytu wyniosłej góry stoją ruiny spizkiego zamku. Gdy księżyc jasną nocą w tajemniczy półcień go osłoni, a wietrzyk między zwaliska głęboko się zapuści, grzebiąc w starych prochach — dziwny ton uderza ucho wędrowca. To raz zawodzi płaczem... to znów brzęczy oddźwiękiem metalu... to jęknie głosem boleści...

Jest to duch pokutujący spizkiego zamku...

Lud okoliczny zimowemi wieczory chętnie opowiada o nim podanie, które tu wiernie powtórzę.

* * *

Naprzeciw spizkiego zamku, na polskiej stronie granicy, wznosiło się u stromej skały, porosłej tu i ówdzie karłowym jałowcem, przed dawnemi laty stare zamczysko. Dziś zostało po niem zaledwie kilka niekształtnych kamieni; wówczas spoglądało ono dumnie w około urągając północnym wichrom i groźnie wysuwając wysokie baszty w stronę sąsiednich Węgier. U podnóża skały mruczał Poprad gniewliwy.

Przenieśmy się myślą wstecz o wieków kilka.

U szczytu baszty, wsparty o wyłom strzelnicy dumał pewnego wieczora pan zamczyska. Chłodny wiatr wstrząsał wylotami płowego kontusza i rozwiewał siwe włosy starca u nagiej skroni, jakby obudzić go chciał z głębokiego dudumania. Wzrok szlachcica błądził bezwiednie po brzegach Popradu, lecz dusza jego była daleko... Wtem spojrzał ku sinej oddali i zadrzał... Oko jego krwawym zagorzało odbłyskiem, na twarz jego wystąpił gorączkowy rumieniec, usta zacięły się bolesnym kurczem, a suche palce zaryły się w mur i kilka oderwanych ułamków posypało się w przepaść...

— Hańba ci sromotna, hańba ci Madjarze! Zemsta moja dosięgnie twej nikczemnej głowy.

I stanął starzec jak posąg skamieniały z wyciągniętą ku południowi prawicą, a piersi jego wzdęły się pod napływem złowrogiego uczucia...

W stronie, gdzie drząca dłoń jego wskazywała, czernił się w dali u szczytu góry ciemny punkt, jak gniazdo jaskółcze do niej przylepiony. Byłto węgierski zamek spizki.

Borsu, magnat węgierski był władcą jego.

Obaj sąsiedzi, potomkowie Lecha i Arpada wstęgą Popradu oddzieleni od siebie, od młodości już pałali ku sobie śmiertelną nienawiścią. Czy to spory graniczne, czy inna jaka przyczyna przywiodła ich do zerwania wszelkich ze sobą stosunków — o tem zamilcza podanie. Wielkie jednak musiało być między nimi rozdrażnienie, gdy doprowadziło w końcu aż do skrytobójstwa.

Gdybyś mógł był rozedrzeć pierś starego szlachcica i spoglądnąć okiem badacza w jego wnętrze bolejące — straszny tam przedstawiłby się tobie obraz, obraz do grobowej deski zrosły ze starca pamięcią... Ujrzałbyś tam spienione nurty Popradu, niosące szalonym pędem zwłoki jasnowłosego młodzieńca, ze zabójczem żelazem w piersi i z sinemi usty, mijające skałę ojczystego zamczyska... ujrzałbyś w nadbrzeżnem krzewiu ukrytego Węgra o zbroczonem krwią ramieniu, topiącego wzrok nienawiści i nasyconej zemsty w płynącym trupie... a na przeciwnym brzegu ujrzałbyś starca, powalonego boleścią o ziemię, tarzającego się w rozpaczy, wyciągającego drżące dłonie ku bezlitośnym falom...

On to, magnat węgierski, wróg domu polskiego szlachcica, dopadłszy na łowach po swej stronie granicy jedynaka swego nieprzyjaciela, zamordował śmiałego młodzieńca, co mu hardo stawiał czoło, i rzucił nieżywego w chciwy ofiar strumień wzburzony.

Rozpacz starca nie miała granic... Jedynak jego padł z ręki wroga, nie w szlachetnej walce, oko w oko, spisa w spisę, lecz skrytobójczym ugodzony ciosem!... Starzec konał w boleści... żądza zemsty utrzymała go przy życiu... Wyschły rozpaczą pragnął jej, jak młodzieniec rozkoszy, jak ginący ratunku, jak skruszony grzesznik pragnie odpuszczenia... Zemsta stała się jego dążeniem — celem jego dni policzonych — jego życiem... Krwawo, bezlitośnie jej dokonać, a potem umrzeć z zadowolenia uśmiechem na ustach, oto jego sny, jego myśl nieodstępna, jego codzienna modlitwa...

Wzywania do walki o śmierć lub życie napróżno czekały odpowiedzi; napad na zamek wroga, by go we własnem dosięgnąć legowisku, równał się niepodobieństwu. Spizki zamek warowny jak mało, a załoga bitna i odważna!... Pan Spiżu śmiał się z pogróżek i urągał z boleści polskiego szlachcica.

Długo... długo suszył mózg blady starzec nad wyszukiwaniem rodzajów zemsty. Zrządzenie losu, czy palec Boży, dopomogły mu wreszcie do urzeczywistnienia jego zamiarów...

. . . .

Burzliwe czasy nastały dla Węgier. Hordy Turków zalały piękną spuściznę Arpada. Obronne zamki wzdłuż południowej granicy jeden po drugim wpadały w ich ręce. Tysiącami uprowadzano jeńców w jasyr, a popalone wsie i miasta rozsypywały się w zgliszcza i gruzy. Szlachta węgierska poczuła potrzebę wspólnego działania; wszystko, co żyło, spieszyło do obozu, by stawić czoło najezdnikom. I pan na Spiżu otrzymał wezwanie stawienia się u wspólnego sztandaru.

Borsu był ojcem. Małżonka jego, którą ukochał całem sercem i której rękę dopiero po zwalczeniu wielu przeciwieństw był otrzymał, zmarła na łożu boleści, powiwszy mu córeczkę, żywy swój obraz. Borsu przelał na to dziecię całe swe uczucie, łącząc miłość ojca z miłością matki i strzegąc jej jak oka w głowie. Siostra jego, młoda Jadwiga, zastępowała przy małej miejsce nieboszczki i mimo swej niedojrzałości i swego niedoświadczenia z całą gorliwością zajmowała się pielęgnowaniem tego dziecięcia.

Śliczne bo też to było stworzenie: z małej sierotki urosło dziewczę kwitnące zdrowiem i wdziękiem. Gdy w ogrodzie zamkowym igrało u stóp zamyślonej wiecznie Jadwigi, ścieląc jej kwiatki pod stopy lub wijąc wonne równianki, a młodziuchna piastunka okiem matki zadumana spoglądała na miłą dziewoję—Borsu stojąc we framudze okna zamkowego lubował się nęcącym serce rodzicielskie widokiem, i mimo gwałtowności dzikiego i nieugiętego charakteru nieraz łza zabłysła w zachmurzonem oku.

Zagrzmiała surma bojowa... Choć serce rwało się do jedynaczki i oko zwilżało na myśl rozłączenia — miłość ojczyzny wzywała na pole walki. Borsu nie zawahał się ani chwili. Zanim jednak po raz ostatni przycisnął dziecię do piersi, wezwał swą siostrę i drżącym głosem tajemniczego przeczucia, które zwalczyć w sobie napróżno usiłował, przemówił do niej:

— Jadwigo! Byłem ci zawsze dobrym bratem... Strzeż mi dziecka, gdyż to skarb mój jedyny... Wielką jest ofiara, którą dla kraju mego ponoszę, opuszczając ją w latach młodocianych. Siostro ciężko mi na duszy i nieznane uczucie serce mi tłoczy... Strzeż tego dziecięcia!...

I nagle, jakby widmo złamanego rozpaczą starca stanęło mu przed oczyma, zawołał głosem okropnym, od którego zadrżały szyby w ołowiach:

— Jadwigo! Życiem przepłacisz mi najmniejszą jej krzywdę!...

. . . .

Nazajutrz Borsu opuścił spizki zamek ciągnąc w dal ku południowi na czele zbrojnego orszaku, a w zamku

pozostała płacząca dziewoja z piękną swą piastunką i silna załoga ku obronie niewiast.

Cisza zajęła miejsce wrzawy wojennej... Czas płynął w spokoju i tęsknocie. Żołdacy zamkowi, zrazu baczni i ostrożni, zwolna oswoili się z myślą o ciągłem niebezpieczeństwie, i pijąc zdrowie pana popadli w gnuśną nieczynność; tylko Jadwiga kojąc łzy dzieweczki badała widnokrąg wokoło, jakby szukała tęsknemi oczyma jakiegoś ukochanego przedmiotu; i tylko stary klucznik zamkowy czuwał dnie i noce, obchodząc straże i pilnując kluczy od bramy zwodzonego mostu.

Tak mijały dnie po sobie w jednostajnej ciszy; tylko straż wróciwszy z posterunku opowiadała nieraz przy winie drwiącym towarzyszom o duchu bladego staruszka, co błąka się czasem nocną porą około zamczyska.

. . . .

Jakże wesoło u polskiego szlachcica?! Szlachta strojno a gwarno oblęga trawą zarosły dziedziniec, wysuszając antałki i wznosząc zdrowie po zdrowiu klejnotowej wolności. Między nią krząta się pan zamku. Starowina z gorączkową skwapliwością dolewa i ściska dłonie braci szlachcie, szczególnie polecając jej pamięci młodziana, którego wiedzie pod ramię. Szlachta czapkuje a pije, stary dziękuje a młodemu na ucho szepcze. Nie pojmowano zmiany w starym. Snuto różne domysły o jego nienaturalnej wesołości, z jaką podejmował sąsiadów, i o nagłem przywiązaniu do młodego szlachetki, który pono z dalekich stron się pojawił. Dziwi się okolica; załoga spizka wolna od wszelkiej obawy, w poblizkich wioskach oddaje się wybujałej rozpuście, a klucznik zamkowy wzdycha dzięki składając Bogu, iż spokój powrócił staremu wrogowi jego władcy.

Szlachcic pożegnawszy gości został sam jeden z młodym Stanisławem. Gorączkowo lecz ostrożnie wziął się do dzieła. Młody i niedoświadczony, według skrytych jego planów posłużyć miał mu do wykonania niezłomnego zamiaru: powinien był starać się o wejście do spizkiego zamku i udzielenie mu pomocnej dłoni; wszak niedaremnie wymówił się był przed nim Stanisław, iż zwiedził całe Węgry w familijnym interesie, że zna całą spizką okolicę i że język Madjarów wcale mu nie obcy. Jakże jednak uderzyło serce staremu, gdy gorący młodzieniec wyspowiadał mu się z tajemnic serca swojego: zbiegając Spiż nie minął on był i zamku, a bawiąc tamże czas dłuższy nie mógł pozostać obojętnym na wdzięki pięknej siostry magnata; co więcej, gwiazda jego w szczęśliwe zawiodła go miejsce, gdyż Jadwiga pokochała go całą siłą pierwszej miłości. Tylko trwoga przed gwałtownością pana na Spiżu wstrzymywała kochanków od wyznania przed nim tajemnicy. Dumny B o r s u nigdyby na podobny związek nie dał zezwolenia. Krótko trwały chwile szczęścia; nastąpiło, co nastąpić musiało — rozłączenie.

Po zasięgnięciu takich wiadomości starzec otoczył Stanisława pieczą rodzica; zamek swój, żupan z siebie, swoją osobę nawet poświęciłby był odtąd chętnie zachciankom młodego gościa. A młody, zwykle jak młody, nie spodziewając się zasadzki, stał się poniewolnem narzędziem w ręku krwi łaknącego starca.

Zaledwie minęło dni kilka, Jadwiga dowiedziała się już o bytności w pobliżu Stanisława, który przysiądz musiał szlachcicowi, iż miejsca swego pobytu nie zdradzi. Wkrótce serce dziewczęcia przemogło siłę woli i rozumu; boleść z dłuższego rozłączenia z kochankiem zwalczyła głos sumienia, a radośna wieść o jego pojawieniu roznieciła żar w jej piersi, którego zimna rozwaga nie ugasi!... Zielony gaj nad brzegiem Popradu, nieco oddalony od zamku, nęcił kochanków świeżością swej woni i uroczym szmerem rzeki. Tu było miejsce ich schadzek.

Tymczasem wszelkiej karności pozbawiona załoga spizka hulała po wsiach swobodnie.

Jadwiga zaś, puściwszy wodze namiętności, niepomna przestróg i groźby brata, oddawała się słodkim marzeniom przy boku Stanisława, jednej wszelako nie zapomniawszy ostrożności: oto nie omieszkała nigdy pozamykawszy własnoręcznie wszystkie do zamku przystępy, nosić pęku kluczy przy sobie u pasa.

. . . .

Pewnego wieczora, gdy Jadwiga nad rzeką spędzała chwile szczęścia w objęciu kochanka, gdy większa część spizkiej załogi według zwyczaju była nieobecną, przeraził nagle młodych kochanków daleki odgłos wojennej wrzawy. Trwoga owładnęła drżącą dziewicę... blada, na poły nieżywa puściła się ku zamkowi. Jeszcze nie dosięgła granic lasu, gdy ponownie odezwał się w dali głos wołający ratunku, przerywany okrzykiem tryumfu lub jękiem ginących. Przez krzewy i kamienie spieszyła biedna Jadwiga, przyciskając do serca od trwogi dłoń skostniałą. Krzaki darły na niej odzienie, chwytały za rozpuszczone włosy, ostre kamienie raniły jej stopy. Dopadła wreszcie zamku... lecz jakiż obraz ją czekał!... Komnaty zniszczone i porabowane... na dziedzińcu trupy pozostałych obrońców i starego klucznika, a o powierzonej jej pieczy jedynaczce ani słychu! Podczas jej niebytności mściwy sąsiad ze szlachtą okoliczną napadł na bezbronny zamek, drabinami dostał się na mury, wyciął w pień pozosłałą część załogi i uprowadził córkę magnata. Wprawdzie stawiono chwilowy opór; ale ponieważ wszystkie klucze Jadwiga miała przy sobie, żadna ze służebnych niewiast nie mogła tak szybko wydobyć się z murów, by uwiadomić o niebezpieczeństwie wieś i resztę załogi.

Jadwiga padła bez przytomności na ziemię.

. . . .

Tymczasem w obozie duszna ciężkość tłoczyła pierś magnata... Przeczucie okropne, potęgujące się codziennie

nie dozwalało mu na chwilę spokoju. Dłuższy opór był mu niemożliwy. Dosiadłszy rumaka pędem strzały puścił się w towarzystwie swych zbrojnych z powrotem. Trzy dni i trzy noce trwała szalona gonitwa; nareszcie dopadł spizkiego zamku.

Przeczucie nie zawiodło go wcale.

Stary szlachcic usłyszał zbliżającego się wroga, jednak nie zadrzał on wcale; zimny, spokojny, czekał jego przybycia.

— Zbójco!—wołał Borsu z pianą na sinych ustach, wyprzedzając swoich towarzyszy —Zbójco! Gdzie jest moja córka?!

W zamczysku cisza... Najlżejszy szmer nie zdradza czuwającej załogi. Na murach ani żywego ducha.



Duch pokutujący w zamku spizkim.

Rozpacz, boleść, wściekłość miotały nim na przemian, dosięgając najwyższej potęgi. Na gromowy głos jego tysiące okolicznych Węgrów pospieszyły dla użyczenia pomocy nieszczęśliwemu ojcu. Wydając dzikie okrzyki zemsty, niosąc śmierć i zagładę, ruszył tłum rozwścieklony ku polskiemu zamczysku.

Brama zwodzonego mostu jękła od ciężkich razów węgierskich berdyszy.

— Pokaż się zbójco! Nie kryj się w twojej norze!— zawył tłum okrążając mury.

Aż oto na wierzchołku baszty pojawił się starzec sam jeden, zimny jak głaz, spokojny jak grób. Włos rozwiany



Obchód 300letniej rocznicy unii Polski z Litwą pod Kownem 12. sierpnia 1861.

(Z rys. A. Grottgera).

podniósł się w górę, z oczu ogień tryskał. Stanął nad brzegiem przepaści, trzymając na ręku drzącą z przestrachu dziecinę.

Borsu zbladł... pot zimny wystąpił mu na czoło... Wyciągnął drzące dłonie do swego dziécięcia, a ono darło się do ojca wołając jego pomocy.

I zagrzmiał w powietrzu straszny głos starca, jak wybuch szalonego orkanu, jak ryk ranionego lwa:

— Borsu! Wydarłeś mi syna! Zamordowałeś mego jedynaka! Długo czekałem na tę chwilę i doczekałem się jej nareście!... Czy pojmujesz teraz boleść ojca?... Czy czujesz niszczące płomienie tego piekła? Daremnie wyciągasz dłonie do tego dziéwczęcia... Pamiętasz? Tak i ja wyciągałem bezsilne ramiona za trupem mego syna... Borsu!... Dziécię za dziécię!... Śmierć za śmierć!...

. . . .

Jeden okrzyk... okrzyk urwany — ostatni... i dziéwczę runęło w przepaść...

Za nią potoczył się starzec...

. . . .

W kilka dni po tem zdarzeniu ponuro było na spizkim zamku... Tłumy milczące z odkrytemi głowy zalewały dziedziniec... a na tegoż środku wznosiło się rusztowanie czarnym kirem obite... Pień dębowy, na nim miecz czarną wstęgą przepasany, dopełniały okropnego obrazu.

I powstał szmer cichy w tłumie, jak szmer liści w lesie, poruszonych nagłym powiewem wiatru. Na rusztowaniu pojawił się Borsu, raczej cień wyschły dumnego magnata, wlokąc za sobą napół umarłą Jadwigę w białem odzieniu, z rozpuszczonem włosem... Nieszczęśliwa padła na kolana i wypłakane oczy, zaszłe bielmem śmiertelnej trwogi, bezwiednie wlepiła w przerażone tłumy.

— Siostro, gdzie moje dziécię! — zaryczał Borsu.

Jadwiga drgnęła, załamała dłonie, a usta jej wyszeptały: Litości!...

— Siostro! gdzie moja córka? — powtórzył mściwy sędzia podnosząc miecz w górę, i ledwie po raz trzeci okropne zapytanie wymknęło się z ust jego — spadło żelazo — i piękna głowa nieszczęśliwej potoczyła się na rusztowanie.

* * *

Borsu szukając śmierci zginął w walce z niewiernymi... a duch osądzonej przez rodzonego brata błąka się nocą w białem odzieniu z rozwianym włosem po zwaliskach spizkiego zamku, brzękając pękiem zamkowych kluczy i strasząc spoźnionego wędrowca....

Aureli Urbański.

FRASZKA,

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

II

W nocy odebrał Karol list *pr. ekspr.* od ciotki, mieszkającej o mil trzy, i rychło wyjechał, bo chciał przed wieczorem już znowu być z powrotem.

Pani Zaniewska była wdową, dziedziczką Trawna. Miała córkę zamężną, którą za majętnego wydała obywatela, starszego od niej o lat trzydzieści; i żonatego syna, którego ożeniła z posagiem znacznym, a w dodatku z idiotką biedną. Obecnie bawiła się w poswatanie siostrzeńca, ażeby i tegoż, z wyższą spekulacyą, do ślubnej powieść przysięgi.

— Przybywasz przecie! — zawołała witając go — a już niecierpliwiłam się bardzo. Jesteś za nadto obojętnym na własny interes. Siadaj! No i co? Kiedyż wybierzesz się na Kaszuby?

— Może za tydzień, za półtora — odrzekł rzucając się na fotel. — Ale czy to tylko nie jaka finta? Bo szkoda byłaby czasu, pieniędzy, tarapania się mil tyle, a jeszcze i fiasco!

— Mówię ci, że majątek rzeczywiście jest znaczny bardzo. Może z jakie czterykroć sto-tysięcy. Proboszczem tamtej parafii, w skutek wypadku, który nie obchodzi nas wcale, jest ksiądz Wilski, znany mi dawniej dobrze, a wuj rodzony naszego wikaryusza. Ten pan Muszalski sprowadził się tam z Augustowskiego przed ośmiu czyli dziewięciu laty, kupiwszy od jakiegoś Niemca wieś Borki. Jest starym kawalerem, i adoptował córkę po bracie, której ojciec okrągluteńkie sto-tysięcy pozostawił. Wiedzą to sąsiedzi, jak kto siedzi. I pan Muszalski jest znanym bogaczem w okolicy całej.

— Potrzeba się wszelako przepytać jeszcze.

— To też na chybił-trafił nie ożenisz się przecie.

— Czterykroć stotysięcy!...

— Już i sto tysięcy piechotą nie chodzi, zaśmiała się ciotka. Popytaj, pojedź i przekonaj się. Cóżbyś począł z posażkiem panny Górnickiej? Skrzywiła się, ruszając ramionami.

— Czy też ja myślałem żenić się z nią kiedy?! Ładne dziéwczę, miłe, dobrze wychowane, podobać się może. Ale... ojciec dzierżawi! Nie w ciemiem bity. Czterdzieści tysięcy i moja osoba w dodatku warte sto przynajmniej. Tak sobie powiedziałem, i od tej nie odstąpię zasady.

— Bardzo słusznie i sprawiedliwie. Tylko na Boga, sza o wszystkiem! Kierniewski tylko czycha na jaką pannę posażną.

— Za długo czekał i bankrut bez szansy. Ratuje się tylko blichtrem jeszcze i wystawnością, która ostatnie resztki w przepaść potrąca. A raczej już nawet nie jego resztki, tylko pozarywane na weksle pieniądze. Dużoby tu o tem mówić! Dębownicę mu sprzedadzą, i niema dla niego ratunku, a przynajmniej nie u nas. Chyba jaki nizki parweniusz dałby mu jeszcze córkę. Lecz i o tem wątpi kościoł Boży. Wymądrzeli i oni, a zresztą i duch czasu!... Jedynie mogłaby go poratować jaka stara panna bogata, albo też wdowa. Tylko gdzie ich poszukać na prędce? Za długo czekał.

— Mógł się ożenić z Filipiną.

— Brzydka jak noc, o co mniejsza; ale ona ma tylko trzydzieści tysięcy. Wszakżeż mnie tam przez gwałt ciągnęli. Gdybyć była miała trzykroć, ha to jeszcze!... choćby i nie z gustem!

— Tak, gdyby to trzydzieści na trzykroć przemienić można! Nieszczęsne zero. No i Feliks naprawdę po deklaracyi?

— A tak, półgłówek! Byłby lepszą mógł zrobić partyę. Gdyby zresztą i Filipinę.

— Podobno, że z Teresią i dziesięciu tysięcy nie dostanie.

— Być może.

— Dzieci troje. Blichtr!

— Zarznie się chłopak. A mówilem!... Ciociu, czy ten pan Muszalski jest rzezczywiście szlachcicem?

— Niezawodnie. Poszukałam go w Niesieckim. W tej chwili nie pamiętam herbu. Pokażę ci.

— Mnie o to nie chodzi wcale, bo jestem zasad demokratycznych, ale—wszelako.

— Ej naturalnie!

— Czterykroć! Gdyby i nie był szlachcicem. Ale panna była w Dreznie?

— Przed rokiem niespełna wróciła dopiero.

— Że to nikt dotąd nie znalazł się jeszcze.

— Niemasz tam podobno domów polskich tak blisko. Nieznani. Stary kutwa nigdzie z nią nie bywa. Ale spiesz się zawsze i nie odwłócz. Bo może się kto znaleść.

— Posłucham kochanej cioci. Wprzódy wszelako jeszcze zapytam tu i ówdzie.

— Pamiętaj tylko: pan Muszalski, wieś Borki pod miastem Skowronowem, czyli *Lerchenberg*.

Karol zapisał sobie w notatkach.

— Wprost zajedziesz do proboszcza Wilskiego, wikary uprzedzi go o wszystkiem. Ja także napiszę. Można rzecz tak ubrać, że on był twoim nauczycielem; że ty, jadąc gdzieś tam zboczyłeś, by go przez wdzięczność i przyjaźń odwiedzić. A zrobi się zgrabnie.

Pani Zaniewska pod tym względem różne jeszcze nauki siostrzeńcowi dawała. Po objedzie wyjechał, i zamiar stanął, że niezadługo w onę konkurencyjną wybierze się podróż. Około godziny szóstej przejeżdżał przez Złote-Górki i patrzał się na piękny pałac, po za nim park, zamarzywszy, że i on kiedyś dziedzicem podobnego będzie majątku, gdy pozyska ozłoconą rączkę dziedziczki na Kaszubach.

Wjechał do Wierzewa i spojrzał na dwór obszerny, którego okna jasno w przedzachodnim połyskiwały promieniu. Jedno stało otwarte, dojrzał białą firankę—był to pokój panny Heleny. Patrzał się... cugowce chciały skręcić w topolową ulicę ku bramie, znać tędy często chodziły.

— Ruszaj! — zawołał nagle ockniony.

Czwórka z wolantem pogoniła przez wieś. Tuż ponad drogą ładny, murowany stał domek. Był na nim krzyż zawieszony i obrazek za szkłem Matki Boskiej. Mieszkały tam trzy siostry: służebniczki Panny Maryi, które dziedziczka już od lat paru osadziła tamże. Przy domku był ogród z żywopłotem. Z tyłu warzywny—od przodu, na dużym trawniku wiekowa rozłożyła się lipa. Trawnik młodziutka zaległa dziatwa. Jedna ze służebniczek właśnie pobożnej uczyła ich pieśni. Druga szyła opodal. Odznaczały je suknie szafirowe, białe fartuchy w prążki, i białe krochmalne chustki na głowach.

Karol spojrzał się na ten obrazek, ale obojętnem okiem. A raczej lękał się, by tam wśród tej gromadki jednej jeszcze powabnej nie było postaci, z którą nie radby się spotkał, a która jak wiedział, niemal dnia każdego tam bywała. W tem dojrzał ode dworu popielatą sukienkę, słomkowy kapelusik okrągły, dziewuszkę z koszykiem.

— Ruszaj! — krzyknął i poruszył się niecierpliwie.

Cugowce pogoniły ze wsi na żwirówkę. Przy drogach krzyżowych spotkał Władysława, jadącego parą kasztanków i *gig*'iem.

— Dobry wieczor! Dokąd? — zapytał.

— Do Złotych-Górek. Mam interes w leśnictwie. Zkąd jedziesz?

— Z Trawnej od ciotki. Myślałem, że jedziesz z wizytą do państwa Górnickich.

— Nie dziś.

— Dobranoc!

— Do zobaczenia!

Gdy Władysław przez wieś przejeżdżał, a dom służebniczek Panny Maryi jego zwrócił uwagę, zobaczył pod drzewem, wśród dziatwy wiejskiej, wdzięczną młodą postać niewieścią, szczupłą, zgrabniutką, ładnego lica, która malcom w około owoce wydzielała z koszyczka. Na gałęzi zawiesiła słomkowy kapelusik. Ciemne włosy, gładko przyczesane, składną zdobiły główkę. Całość obrazka o wiele jeszcze ładniejszą teraz była i zajmującą więcej, aniżeli gdy Karol tędy przejeżdżał.

Władysławowi ręka zadrgnęła, by się pokłonić — ale, wszakżeż znanym nie był? i *gig* dalej pojechał.

— To jest ten nowy pan z Lesina — wymówiła Frącia, dziewuszka z koszyczkiem—widziałam go, kiedy to był u naszego wielmożnego pana.

— Domyślałam się — odrzekła panna.

— A przejeżdżał też przed chwilą tędy pan z Łuczyny — ozwała się jedna ze służebniczek.—Jużem myślała, że do dworu pojedzie, niby już konie skręcały, ale potem dalej pojechał.

Nieco przybladłe a nader miłe oblicze Heleny zróżowiało nagle, i pochyliła się ku ładnemu, czteroletniemu dziewczątku, zapytując o pieśń, której służebniczka, siostra Katarzyna pouczała je właśnie.

Karol marzył przez noc całą o stu-tysięcach posagu, i w perspektywie stryju z czterma krociami. A powtarzał sobie ciągle: „Potrzeba się wywiedzieć, ażeby nie doznać zawodu! Potrzeba przepytać się dobrze.“ Z obywateli wszelako nikogo w tamtej dalekiej nie znał okolicy.

Rano, w bonżurce i fezie wyjrzał właśnie przez okno, i dojrzał konia okulbaczonego przed karczmą.

— Cóż to tam za koń przed gościńcem? — zapytał służącego, wnoszącego samowar.

— To, jaśnie panie, żandarm Kratz. Szuka złodziei, bo ukradli krowę na hubach. Wypuścili znowu kilkunastu z Kościana czyli Rawicza, i te łazęgi włóczą się teraz i kradną, psie wiary. A wyuczyli się tam pomiędzy drugimi tego, czego nie umieli jeszcze, gdyby na akademii. Czemu ich to lepiej zaraz do jakiej nie nagnali pracy? Bo i cóż mają robić, cóż mają począć? tylko kraść!

Ta uwaga Jakuba, biorącego rzeczy na zdrowy rozum, przebrzmiała około uszów pana, bo myśli jego wcale inny wzięły kierunek.

„Kratz... hm!“ — strzeliło mu przypomnienie, że Kratz tu z Skowronowa przybył, i to przed dwoma laty dopiero. Gratka Opatrzności.

— Poproś go, dam mu herbaty—wymówił do Jakuba — taki żandarm bywa potrzebnym niekiedy.

— To jest prawda, jaśnie panie.

— Dawne mówi przysłowie: kto mieszka na przedpieklu, winien djabła w kumotry poprosić.

Niezadługo brzęknął pałasz w przedsieni. Potem ostrożnie drzwi otworzono, i wsunął się, idąc w ciężkich butach na palcach by nie stuknąć, sążnistej postawy przestrzegacz obwodowy policyjnego porządku, niosąc hełm z żółtej blachy pod pachą.

— *Unterthänigsten guten Morgen, gnädiger Herr*—pokłonił się dziedzicowi Łuczyny.

Pan Karol uprzejmie go powitał i siedzieć prosił.

Żandarm przysunął krzesło, usiadł ostrożnie, by nie brzęknąć ostrogami, i szablę z cicha opuścił.

— Napijemy się herbaty, bom i ja nie po śniadaniu jeszcze — wymówił pan domu dobrą niemczyzną.

Jakub szklankę dużą nalał i karafkę z rumem przysunął.

— A podaj też jaką mięsną zakąskę — rozkazał pan domu.

Co także niebawem uskutecznionem zostało.

Żandarm opowiadał o swoich fatach nocnych, jak to gonił złodziei, którzy mu gdzieś zniknęli. Ale ich wkrótce niezawodnie wytropi: *Desswegen lasse ich mir kein graues Haar wachsen.*

Karol słuchał cierpliwie wszystkiego, przytaknął nawet samochwalczym floreskom bohatéra siły zbrojnej obwodowej, a Jakub wychodząc pomruknął coś tam sobie niezrozumiale: „Gdybyć tylko... o kogo innego chodziło, a nie o złodziei!“

Po wyjściu służącego zapytał pan Karol o Skowronowo.

— *O, ein schönes Städtchen, Lerchenberg!* — zawołał żandarm, zapewne jakiem miłem uniesiony wspomnieniem, boć każdy ma swoje kwiaty wiosenne, nawet i żandarmi.

Karol zapytywał, jak długo pan Kratz w Skowronowie zostawał? Zapytany odpowiedział, że w *Lerchenbergu* przez lat dziesięć fungował.— A zatem doskonale znać musiał okolicę całą?—Rozumie się, że znał.— Więc i pana Muszalskiego w Borkach?

— *Ganz vorzüglich!* — odrzekł z rozjaśnionem, pod nastrzępioną brwią okiem — *ein vortrefflicher Herr!*

— To majętny człowiek? — zagadał Karol zatrzymując oddech.

— Hoho!—pogwizdnął pan Kratz przez zęby—*sehr reich!*

Kawaler raźno odetchnął. Kratz bywał w Borkach. Widział panienkę zanim do Drezna wyjechała.

— *Ein kugelrundes niedliches Fräulein!*—I opowiadał dalej, jak to pan Muszalski pieniądze zgarnia; nie wyjeżdża nigdzie, u niego mało kto przebywa, a ze wszystkiego potrafi zyski wyciągnąć.

— *Der alte Herr muss steinreich werden* — dodał w końcu.

Pan Karol był wielce zadowolony.

Potem zaczął żandarm utyskiwać, jak to znowu parę majątków w powiecie marnieje, a pomiędzy temi i Dębownica.

— *Schade! Sehr Schade!* — wymówił niby z politowaniem, gdy mu filuternie oczy błysnęły — *ein schöner Herr, ein guter Herr!*—i dopił drugiej szklanki, mocno podsyconej rumem.

W końcu dodał, że Dębownicę zamierza kupić pan baron *Sitzblitz* z Pomeranii, ale poczeka na subhastę.

— *Schade, wirklich Schade!* — powtórzył raz jeszcze, sięgając po podaną sobie przez gospodarza *Butterschnitte*, grubo szynką obłożoną, czem tryumfalnie dowiódł odwagi, że bynajmniej nie obawia się trychin.

Tak zakończyła się konferencya z żandarmem Kratzem, i pan Karol na dobre począł się w kraj Kaszubów wybierać.

Dalszy ciąg nastąpi.

KRONIKA.

Z kraju.

(Usłużność koleżeńska). Żadne z pewnością dziennikarstwo nie mogłoby się poszczycić taką usłużnością koleżeńską, jak nasze. Niech tylko rozejdzie się wieść, że ma powstać nowy dziennik: już ta usłużność krząta się co prędzej, by naprzód przygotować mu grób w opinii publicznej; jeźli zaś mimo to odważy on się przestąpić próg życia i w najlepszej nawet wierze ofiarować usługi swe krajowi: już ta sama usłużność nie wypuszcza go ani na chwilę z swojej koleżeńskiej opieki, starając się z całą uprzejmością to podstawiać mu zręcznie nogę, to wyścielać drogę cierniem i grudą, a gdy i to nie pomaga, nie waha się nawet podawać w podejrzenie jego dążności, ażeby tylko przysłużyć mu się jak najlepiej. A wszystko to—jak się rozumieć powinno samo przez się — dzieje się zawsze tylko w interesie kraju, dla dobra publicznego i w imię demokratycznej idei braterstwa i miłości chrześciańskiej! Wstyd powiedzieć, ale właśnie ci, którzy najgrubiej wypisują te święte hasła na sztandarze swoim, najwięcej je naruszają sami. Moglibyśmy przytoczyć tu niejeden przykład z obcego i z własnego doświadczenia, ale nie jesteśmy miłośnikami kronik skandalicznych. Chcemy tylko odpowiedzieć jednemu z owych organów demokratycznych, który właśnie dla wyświadczenia pismu naszemu takiej przysługi koleżeńskiej rzucił na nas podejrzenie, jakobyśmy przy dobieraniu kliszów drzeworytniczych dla naszego pisma dopuszczali się naruszania cudzej własności. Otóż możemy zapewnić ów szanowny organ, że dotychczas nie przyniosło pismo nasze i nie przyniesie nigdy żadnego drzeworytu, któryby nie był w uczciwy sposób nabyty (czem inne pisma illustrowane nie koniecznie mogą się pochlubić), i że również owe drzeworyty Grottgera, któremi tak bardzo się interesuje, nabyliśmy od właściciela, mającego prawo rozrządzać niemi, jak się o tem łatwo przekonać można; a czy który z nich był już kiedykolwiek i gdzie używany, to — zdaje nam sie — rzecz wcale obojętna. Zresztą my nie zaglądamy nigdy na cudze podwórza, i radzibyśmy, żeby i nami nikt się nie opiekował.

(Piśmiennictwo). Oddawna już nie zapamiętano takiej posuchy w literaturze naszej, jak w tej chwili. Pisma czasowe mnożą się nad miarę a nawet powiedzielibyśmy nad potrzebę, a poważniejszych wydawnictw literackich lub naukowych prawie nie widać. Oto cały plon najnowszy:

W Krakowie: Jagiellonki polskie, dzieło prawdziwie pomnikowe Aleksandra hr. Przezdzieckiego, którego dwa tomy już wyszły, a treci jest pod prasą.

W Poznaniu: Z ubiegłych dni, poezye bezimiennie wydane nakładem A. Wienbracka w Lipsku. Czytelnicy nasi mieli już sposobność, poznać nieco ducha i wartość tych poezyj z przytoczonego w 8. zeszycie „Strzechy“ ustępu przez naszego korespondenta poznańskiego; teraz zaś musimy dodać jeszcze niemiłą wieść, że przed kilkoma dniami skonfiskowała policya poznańska te poezye panu M. Leitgeberowi, u którego był główny ich skład dla W. Ks. Poznańskiego. Pokazuje się więc, że i w Prusiech rozumieją się na wolności prasy.

Nakoniec Warszawa obdarzyła nas także wiązanką poezyj p. Witolda Jaroszyńskiego, obejmującą pod tyt. „Szał i miłość“ 5 obrazów dramatycznych, których tło stanowią głównie uczucie i namiętność. Jestto widocznie pierwsza próba tego autora, która zresztą przy dość licznych słabościach swoich i opacznem zapatrywaniu się na świat znamionuje pisarza z talentem.

Prócz tego wydała Warszawa w tych czasach dwa cenne dzieła naukowe, mianowicie: „Wykład systematyczny logiki“ dr. filozofii Henr. Struvego, i „Wykład porównawczy prawa karnego“ profesora szkoły głównej Stan. Budzińskiego.

Tu nakoniec wymienić potrzeba jeszcze wydane w Braunsbergu poważne dzieło kanonika Eichhorna o Kromerze.

Z wydawnictw świeżo zapowiedzianych zasługują na wzmiankę:

We Lwowie: „Dzieje panowania Stanisława Augusta“ Henr. Schmitta, i „Encyklopedya do krajoznawstwa Galicyi“ Antoniego Schnajdera, która wychodzić będzie w zeszytach.

W Krakowie: „Książeczki naukowe a popularne z ilustracyami.“ Hip. Witowskiego.

W Sanoku: „Obrazy galicyjskie.“ J. Gordona.

W Poznaniu: „Rachunki z r. 1867.“ B. Bolesławity.

W Warszawie: „Wydawnictwo ilustrowane ludowe“ Nowoleckiego.

(Dziennikarstwo). Nierównie obfitszym jest stosunkowo najnowszy plon na polu prasy peryodycznej, powstały bowiem w ciągu miesiąca lipca następujące świeże pisma czasowe:

We Lwowie: „Słowianin“ pismo poświęcone sprawom słowiańskim, i Poczta handlowo-przemysłowa, poświę-

cona głównie inseratom i rozsyłana dwa razy w tygodniu bezpłatnie. Pierwszego pisma, t. j. „Słowianina“ pod redakcyą Kazim. Turowskiego wyszedł już zeszyt pierwszy, ale w artykułach jego przebijają się zanadto widocznie dążności, nie mogące znaleść sympatyi w kraju.

Drugi dziennik: „Poczta handlowo-przemysłowa,“ istotnie bardzo pożyteczny dla świata handlowego, zacznie wychodzić z dniem 1. sierpnia r. b. pod redakcyą Jana Rogusa.

Na Szląsku w Cieszynie powstał nowy dziennik polityczny: „Nowiny Szląskie,“ atoli z zamiarem nieuczciwym szkodzenia poczciwej i zasłużonej „Gwiazdce Cieszyńskiej“; a w Prusiech zachodnich w Chełmie zaczęło wychodzić pismo religijne i obrazkowe dla ludu: „Katolik“ pod redakcyą znanego zaszczytnie przyjaciela ludu J. Chociszewskiego. Takiemu wydawnictwu należy się szczere życzenie: „Szczęść Boże!“

(Przeglądu polskiego, Zeszyt I. Roku III. na miesiąc lipiec zawiera następujące artykuły: „Stanowisko c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego wobec nauki i kraju“, przez profesora dr. Majera.—„Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście i Elekcya króla Henryka przez Tadeusza Pilińskiego (c. d.)—„O kredycie rolniczym i jego instytucyach“ przez Kaz. Chłędowskiego (dok).—Siegfrieda Hüppego: „Verfassung der Republik Polen“, przez Józefa Szujskiego.—„Literatura rosyjska: „Iwan Turgeniew i jego powieści“ przez Leona Kaplińskiego.—„Przegląd literacki i artystyczny“ przez Józefa Szujskiego. „Kronika bibliograficzna.“—„Przegląd polityczny“ przez St. Koźmiana. „Sprawy ekonomiczne krajowe“ przez C. Hallera.

(Sztuki piękne.) Komitet zachęty sztuk pięknych w Warszawie zakupił do rozlosowania pomiędzy członków następujące obrazy znane po części z wystawy lwowskiej: Kaplicę Batorego (Gryglewskiego); Karowanie drzewa (Pilatego); Bitwę pod Warną (Sypniewskiego); Powrót z pola (Szermentowskiego); Michał Anioł (Karelli); Smoleń (Brzozowskiego) i Góry nad Czarnym Stawem (Marszewskiego).

Ten sam komitet ogłosił konkurs architektoniczny na zaprojektowanie teatru ludowego w Warszawie, ale udział w tym konkursie mogą brać tylko artyści w kraju zamieszkali.

— Skrzypek Lauvernay, rodem z Krakowa, znany zaszczytnie w Królestwie Polskiem, dawał niedawno koncert w Krakowie, i sprawozdawca „Czasu“ wyraża się z wielkiemi pochwałami o grze jego.

— W Krakowie wydaną została Mapa fotolitografowana okolic Krakowa w kilku kartach arkuszowych według oryginału ułożonego w oddziele sztabu jeneralnego. Jestto publikacya bardzo pożyteczna, tylko niektóre nazwy miejscowe są przekręcone.

— Staraniem hr. Przezdzieckiego wyszedł fotografowany portret hetmana Czarneckiego, zdjęty z oryginału znajdującego się na zamku królewskim w Berlinie.

— Na wystawie obrazów w Berlinie podobały się wielce akwarele Oskara Wiśniewskiego.

(Pomniki). Posąg przeznaczony na grób Ar. Grottgera, dłuta znakomitego rzeźbiarza naszego p. Filipiego, jest już na ukończeniu, i można rzec śmiało, że usprawiedliwia sławę swojego mistrza.

— Pomnik na pamiątkę stuletniej walki narodu polskiego o niepodległość, wzniesiony w Rapperswyl na ziemi szwajcarskiej, a którego poświęcenie odbędzie się na dniu 15. sierpnia r. b., przyniosły już rozmaite pisma ilustrowane w drzeworytach. I „Strzecha“ poda go w swoim czasie z opisem całej uroczystości pióra p. Kornela Ujejskiego.

(Wynalazek). Na szczególne polecenie zasługują Okulary ochronne dla robotników, pracujących przy metalach, jako to: ślusarzy, kowalów, tokarzy, polerników, kotlarzy, giserów i innych, wynalazku dr. Hermana Cohna w Wrocławiu z miki (Glimmer), które zalecają się tem, że są bardzo lekkie, tanie i wcale się nie tłuką, nawet silnie rzucone na ziemię.

(Nekrologia.) Dnia 13. lipca r. b. zmarł w Mińsku Konstanty hr. Tyszkiewicz, znany zaszczytnie w piśmiennictwie naszem archeolog, który jeszcze na krótki czas przed śmiercią wydał dwutomowe, bardzo szacowne dzieło archeologiczne: „O mogiłach i kurhanach na Rusi“

Ze świata.

(Kilka rysów charakterystycznych z życia teraźniejszego Papieża). Pius IX. jest młodszym synem familii hrabskiej Mastai-Feretti i urodził się dnia 13. maja 1792. Za młodu miał wielki pociąg do stanu wojskowego, a już samo urodzenie nadawało mu prawo wstąpienia do gwardyi szlacheckiej. Przyjęto go też do niej, ale wkrótce dotknięty został jakąś słabością, którą uważano za niepodobną do wyleczenia.

Pius VII., ówczesny Papież, kochał go bardzo; dowiedziawszy się o słabości Mastaji, napisał doń pewnego dnia następujący bilet:

„Mój kochany Mastai, przyjdź do mnie dziś o godzinie 2giej; mam Ci coś oznajmić od Ojca niebieskiego.

Pius VII.“

O godzinie 2giej udał się Mastai do Watykanu. Pius VII. wezwał go, ażeby wstąpił do jakiego zakonu.

Porucznik gwardyjski westchnął. — „Niestety — rzekł — to samo nieszczęście, które zmusza mnie opuścić stan wojskowy, nie dozwoli mi także poświęcić się innemu zawodowi.“

— „Bóg żąda tego od Ciebie, mój synu — rzekł Papież. — Idź i błagaj go o uzdrowienie twoje w kościele St. Angelo.“

W sześć miesięcy potem był Mastai uzdrowiony; rozpoczął uaukę teologiczną w Volterra, został księdzem, poźniej misyonarzem w Chili, a nakoniec arcybiskupem w Spoleto i Imoli w r. 1832. Już w r. 1840 otrzymał purpurę kardynalską.

Nie mając własnego majątku i będąc ograniczonym tylko na szczupłą pensyę swoją, nie mógł arcybiskup pomimo wrodzonej oszczędności reprezentować należycie swojego stanowiska. Był tedy w ciągłych kłopotach.

Pewnego dnia wszedł do gabinetu jego marszałek mocno zafrasowany i oznajmił, że niema już ani szeląga w domu.

— „Bóg łaskaw, poradzi na to“ — odpowiedział prałat spokojnie.

— „Ale wierzyciele nasi naciskają strasznie.“

Kardynał Mastai-Feretti oddał marszałkowi ostatnie pięćdziesiąt talarów.

Nazajutrz jednak znikły te pieniądze z kasy bez śladu. Marszałek biegał po całym domu jak oparzony, klął, łajał służących i groził im wypędzeniem.

— „To wypędźże mnie!“ — rzekł kardynał. — „Jam winowajca!“

Istotnie wziął on sam skrycie pieniądze z kasy i wydał je na jałmużny. Nieszczęściem przybył tego samego dnia biskup z Spoletto w odwiedziny do niego, i biednemu kardynałowi nie pozostało nic innego, jak tylko zastawić swój zegarek na pokrycie kosztów obiadu.

Zbytecznym byłoby, do licznych opisanych już rysów charakterystycznych tego wielkiego męża dodawać nowe jeszcze. Poprzestaniemy więc na przytoczeniu kilku jeszcze tylko anegdot z Watykanu, które rzucają najlepsze światło na charakter Ojca św.

Roczne dochody Papieża wynoszą zaledwie trzy miliony, od których potrzeba odliczyć jeszcze koszta nuncyatur, płace kardynałów, wydatki na utrzymanie pałaców papieskich i t. d., tak że dla Papieża nie pozostaje rocznie więcej, jak 25.000 franków.

Gdy po obraniu jego ofiarowali mu żydzi z Ghetto kosztowny starożytny puhar, odpowiedział on deputacyi:

— „Przyjmuję Wasz upominek, moje dzieci, i dziękuję Wam serdecznie. Ale powiedźcie mi, jaka jest rzeczywista wartość tego puhara, nieliczac kosztów wyrobu.

— „Pięćset szkudów“ — odpowiedziano mu.

— „Dobrze! Tu jest tysiąc szkudów; weźcie je i rozdajcie pomiędzy ubogie rodziny w Ghetto.“

Gdy Fanny Elsler w r. 1847 tańczyła w Rzymie w teatrze Argentina, złożyli jej zachwyceni wielbiciele sumę 12.000 franków, ażeby sprawić dla niej złotą koronę. Ale nim to nastąpiło, chciano wprzód uzyskać na to pozwolenie Ojca św., który mógł zganić krok taki przy panującym w kraju niedostatku.

— „Dajcie jej waszą koronę“ — odpowiedział Papież. „Niewidzę w tem nic, coby mogło naruszać godność mojego kościoła, lub zagrażać bezpieczeństwu państw moich. Ale pozwólcie mi powiedzieć, że wybór waszego upominku dla tanecznicy wcale nie jest szczęśliwy. Jestem wprawdzie tylko ubogim kapłanem i nie rozumiem się na takich rzeczach; ale zawsze byłem tego zdania, że korona należy się głowie nie nogom.“

Fanny Elster otrzymała istotnie swoją koronę. Ale gdy oznajmiono jej odpowiedź Papieża, ofiarowała 6.000 franków na ubogich.

(Największy bogacz na świecie). Statystyka nie zna tradycyi ani przesądów; w cyfrach spoczywa jej potęga, i niemi to pozbawiła ona dziś Rotszylda całego uroku.

Mniemanie, jakoby Rotszyld paryski był największym bogaczem, zostało rozwiane obliczeniem pewnego Francuza, który ułożył listę najbogatszych ludzi na całej kuli ziemskiej.

Podług tej listy są cesarze i królowie biedakami; największy bogacz nie mieszka nawet w Europie lecz w Ameryce, i jest po prostu tylko rzemieślnikiem. Ludzie o słabych nerwach mogliby dostać zawrotu głowy, czytając cyfry, w jakich przedstawia się majątek tego Krezusa. Dochody jego wynoszą niepodobną prawie do uwierzenia sumę 60 milionów franków rocznie, zatem reprezentują kapitał w sumie jednego miliarda i dwiestu miljonów; ma on więc do rozporządzenia 5 milionów miesięcznie, albo 169.000 franków dziennego dochodu.

Drugim z kolei najbogatszym człowiekiem jest podług te[j] listy jakiś Rosjanin, który przy dokładnem obliczeniu moż[e] wydawać dziennie 121.000 franków bez naruszenia swojeg[o] kapitału. Po tem Rosjaninie następuje Anglik, który posiad[a] ogromne dobra; gdy tymczasem Rotszyld, ów okrzyczany bogacz, jest dopiero jedynastym w liście Krezusów nowoczesnych! Ale mimo to zgodziłby się każdy na to, żeby być dwunastym z kolei.

Kiedy zaś mowa o bogaczach, nie od rzeczy będzie wspomnąć tu jeszcze o milionerach pruskich. W r. 1866 liczon[o] w Prusiech 144 milionerów, z których przypadało na prowincyę Brandeburską 66, na Szląsk 29, na prowincyę nadreńsk[ą] 17, na Westfalię 10, na Saksonię 7, na Pomorze 6, na Poznańskie 5, a na zachodnie Prusy 4. Prowincya Brandebursk[a] jest dlatego najobfitsza w milionerów, ponieważ ściągają się o[ni] ze wszystkich prowincyi do Berlina. Pomiędzy milionerami s[ą] znowu ubodzy i bogaci; ubodzy muszą poprzestawać na lichyc[h] 1 lub 2 milionach, i takich jest 92. Po tych następuje 3[?] milionerów posiadających 2 — 3 milionów, a 11 z 5 — [?] milionami. O wiele wyżej od tych pospolitych milionerów st[oi] trzech arcymilionerów, z tych jeden w obwodzie Münster, [a] dwóch w obwodzie Opolskim. Do tych trzech arcymilioneró[w] przybył jeszcze od r. 1866 jako arcy-arcymilioner baron Rotszyl[d] który znowu podług powyższej listy jest chudopachołkiem [w] porównaniu z innymi.

(Potępienie tytoniu.) Nieraz już zdarzało nam s[ię] czytać szerokie i głębokie rozprawy o szkodliwości tytoni[u] ale nigdy jeszcze nie natrafiliśmy na tak dobitną, z jaką w[y]stąpił w najnowszym czasie w amerykańskim czasopiśm[ie] „Atlantic Rewiew“ jakiś zaciekły nieprzyjaciel tytoniu i apostoł wstrzemięźliwości. Na próbkę przytaczamy tu niektó[re] ustępy z jego filipiki antytytoniowej.

Podług jego zdania jest hańbą i wstydem dla człowiek[a] mówić, że mu sprawia przyjemność fajka tytoniu. Przedewszystkiem nie powinni palić tytoniu czeladnicy murarscy i żołnierz[e] gdyż tytoń pozbawia ich odwagi i siły do znoszenia trudó[w] „Rozumny jenerał — powiada on — który chce mieć dzielnych żołnierzy, powinien odjąć im nietylko tytoń, ale tak[że] kawę i herbatę;“ i większą część chorób w szpitalach wojsk[o]wych przypisuje on głównie paleniu tytoniu przez żołnierzy.

Podobnie jak żołnierz, nie powinien także majtek używ[ać] tytoniu, który w ogóle żadnemu człowiekowi nie przynosi p[o]żytku. „Miazmy tytoniu są w najwyższym stopniu szkodliw[e] zdrowiu. Palenie tytoniu jest zdradą cywilizacyi. Studenci, kt[ó]rzy oddają się temu nałogowi, stają się prostakami, cały i[ch] sposób myślenia, całe ich postępowanie odznacza się nieokrz[e]-

saniem i rubasznością. Przez ten czas bowiem, gdy piją i gębę swoją zamieniają w komin, mogliby w przyległym pokoju zajmować się szlachetniejszą zabawą. Tam grają świetne fantazye na fortepianie, tam świeży głos nuci zachwycającą piosenkę, tam krzątają się wesoło młode, piękne dziewczęta. Ale na takie wzniosłe, czyste rozkosze jest fajczarz obojętnym, on znachodzi całe szczęście tylko w swoim zmysłowym, barbarzyńskim nałogu. A przecież rości sobie taki człowiek moralną wyższość nad istotami tak delikatnemi i miłemi, jak kobiéty, nad istotami, które mają nierównie więcej cywilizacyi, niż on! Tak jest, tytoń to największy nieprzyjaciel kobiet, najgorszy ich rywal, i przeto muszą one go nienawidzieć."

W końcu zaś niby wyciągając ogólny wniosek z tych rozumowań powiada autor: „A więc można rzec śmiało, że człowiek, który pali tytoń, przestaje być człowiekiem a staje się najplugawszem zwierzęciem. Zresztą niemasz łotra ani zbrodniarza na świecie, któryby niebył oraz niewolnikiem i wielbicielem tej szkaradnej rośliny, a ktoby zdołał pokazać mi wyjątek w tym względzie, dam mu w nagrodę dwa białe kosy."

Tak wymyślają na tytoń w Ameryce, w właściwej ojczyźnie tytoniu; ale czyż choć jeden z nas przestanie go palić dlatego?!

(Statystyka samobójstw) wykazuje, że najwięcej samobójstw popełniają Niemcy, po nich następują ludy romańskie (Francuzi, Włosi i t. d.), Słowianie zaś mają najmniej skłonności do samobójstwa. Najwięcej samobójstw w Niemczech przypada na Saksonię, następującą w wykazie statystycznym zaraz po Danii, gdzie rocznie na 1 milion ludzi liczą 276 samobójstw. W Saksonii naliczono ich w roku zeszłym 245, w Prusiech 122; najmniej było ich: w Lombardyi 16, w Irlandyi 10, w Portugalii 7 na jeden milion ludzi. Co do wyznań dowiedziono, że najbardziej skłonni są do samobójstwa protestanci, co zapewnie policzyć wypada na karb przeważnie niemieckiego ich pochodzenia. Najmniej samobójstw zdarza się pomiędzy żydami. Dawnemu zresztą mniemaniu, że dnie posępne i mgliste powietrze wywołują głównie splin i melancholię, zadaje kłamstwo wzmagająca się widocznie liczba samobójstw w ciągu miesięcy letnich. Tak np. gdy we Francyi zdarza się w przecięciu 80 samobójstw w miesiącach zimowych: listopadzie, grudniu i styczniu, — naliczono ich aż 107 w miesiącu maju, i prawie tyleż w czerwcu i w lipcu. W Anglii jest także różnica między zimą i latem bardzo znaczna, a roczna liczba samobójstw wynosi tam w przecięciu 240.

(Nowa roślina pożywna). Zaczynają teraz wiele mówić na Zachodzie o roślinie zwanej Arracacha albo Aracatcha, pochodzącej z Ameryki środkowej i południowej, a uprawianej szczególnie w okolicach Santa-Fé de Bogota. Roślina ta, zaaklimatyzowana we Francyi od lat przeszło 10ciu, znana jest w Europie od r. 1804. Ma korzenie kształtu rogów wolich, dobre do jedzenia, smakujące niby jak kasztany, niby jak kartofle. Można je jeść surowe lub upieczone w popiele gorącym, jak kartofle. Nowatorowie pragną je wprowadzić w miejsce tych ostatnich, dotykanych od wielu lat zarazą.

(Kiedy łgać — to dobrze). Od czasów naszego sławnego facecyonisty „Panie kochanku" i jego drużyny albańskiej, której obowiązkiem było łgać na zawołanie za przykładem swojego mistrza, poszła u nas zupełnie w zaniedbanie sztuka zmyślania (czego zresztą żałować nie potrzebujemy), i dziś pozostaje nam tylko podziwiać ten kunszt u innych narodów. Szczególnej w tym względzie sławy używają teraz Amerykanie północni, i jak który z nich zełże, to już pewnie dobrze. Oto znajdujemy w dziennikach nową próbkę ich talentu.

Anglik siedząc przy kuflu z Amerykaninem, chciał go przekonać, że naród angielski ma większe zalety niż amerykański, i twierdzenie to poparł opowiadaniem, że angielscy handlarze drobiu są tak wielkimi mistrzami w dresurze, iż każdą razą, gdy wóz z drobiem stanie przed ich drzwiami, wszystkie kapłony i kury stają natychmiast szeregiem, a potem na komendę kładą się na grzbietach i składają na krzyż nogi, ażeby dać się powiązać i zanieść na targowicę.

Amerykanin słuchał opowiadania tego z największą spokojnością, nie uśmiechnąwszy się nawet; a gdy już skończył Anglik, pokrzepił się flegmatycznie grogiem i rzekł:

„Wszystko to głupstwo, bracie! Ale my mamy lekarza, który w Kanzas kazał piękną wieś zbudować. Otóż wieś ta jest tak zdrowa, że ludzie w niej nie mogą wcale umierać; a gdy się wreszcie któremu żyć uprzykrzy, musi udawać się do poblizkiego miasta, ażeby wyzionąć tam ducha. Żyje też w tej wsi dwoje ludzi tak starych, że sami nie wiedzą już, kim są, i niema nikogo w kraju, ktoby im mógł to powiedzieć."

Otóż to kunszt łgarski co się zowie.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1868.

Biblioteka Ossolińskich. X. Lwów 1868.
Nowicki M. dr. Zoologia dla szkół gimnazyalnych i realnych. Zesz. I. Kraków 1868.
Chęciński J. Cicha woda brzegi rwie. Przysł. dram. Poznań 1868.
Górecki W. Zasady Towarzystw pożyczkowych. Lipsk 1868.
Jerzykowski. Żywot Kornela Neposa. Poznań 1868.
Bolesławita. Tułacze. II. Poznań 1868.
Gaurand. Maryanna Aubry. Powieść. Poznań 1868.
Schultze-Delitsch. Prawa i obowiązki społeczne. Warszawa 1868.
Montalembert K. Jenerał Władysław Zamojski. Poznań 1868.
Cegielski H. O pisowni Rzepeckiego. Poznań 1868.
Ustawy krajowe. III. Lwów 1868.
Komarnicki J. O porządku czynności rad gminnych. Lwów 1868.
Funke. Obecne i dawniejsze stanowisko rolnictwa. Poznań 1868.
Statut Towarzystwa naukowo-literackiego we Lwowie. Lwów 1868.
Kolumna Z. Pamiątka dla rodzin polskich. II. Kraków 1868. Dod.
Błogie dnie dziecięcia w obrazkach. Warszawa 1868.
Zwierzyniec dziecięcy w obrazkach. Warszawa 1868.
Orzeszko Eliza. Ostatnia miłość. Powieść. Warszawa 1868.
Grzechy i cnoty w 30 powiastkach. Warszawa 1868.
Opowiadania matki małym dziatkom. Warszawa 1868.

Wydawca i nakładca: F. H. Richter. Redaktor odpowiedzialny: Fr. Waligórski. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.